

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LISTOPAD 2019/6

magazynhisteria.pl

CIENIE W MROKU  
CZYSTY TALENT  
JOHAN  
KARMIENI LĘKIEM  
POST MORTEM  
WESSEL



# SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
CIENIE W MROKU	Paweł Wójcik	4
CZYSTY TALENT	Bartłomiej Mucha	17
JOHAN	Mateusz Dębski	30
KARMIENI LĘKIEM	Jacek Nowak	41
POST MORTEM	Katarzyna Chroma	49
WESSEL	Jakub Luberda	61

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka :** Joanna Widomska

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Zvyrke

**Korekta:** Marta Jankowska, Kaja Jaroszevska, Joanna Korytko

**email:** [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



Witajcie!

Przed Wami listopadowa Histeria. To już trzydziesty piąty numer, a w tym roku ostatni!

W środku znajdziecie sześć opowiadań szeroko pojętej grozy, w tym teksty autorów, którzy debiutują na łamach naszego magazynu.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad noworocznym wydaniem.



B. Jaworski i M. Zawadzki



rys. Roman Panasiuk

# C IENIE W MROKU

Paweł Wójcik

Na wpół zatopione stalowe konstrukcje bliżej nieokreślonego przeznaczenia. Sztorm. Strumienie deszczu lejące się z sinych chmur. Mężczyzna w kombinezonie nurkowym przywarł mocniej do stalowej kratownicy podtrzymującej opasły rurociąg, bardzo starając się nie spaść z powrotem do wody. Zanim poziom mórz podniósł się na skutek topnienia lodowców, rurociąg był zawieszony na oko z dziesięć metrów nad gruntem, teraz pęk rur co chwila nikał pod wzburzonymi falami.

Nurek odrzucił butlę standardowego akwalungu, pozwalając jej zniknąć w skłębionych wodach. Pozbył się też pasa z balastem. Zaraz potem w wodzie zniknęły płetwy odpięte od marynarskiego obuwia o podwyższonej przyczepności. Co prawda sztorm i nawałnica sprawiały z jednej strony, że ochrona mało co widziała na ekranach monitorów,

a z drugiej ryzyko wpadki jednak było. Gdyby, odpukać, do niej doszło, miał gotową bajeczkę o wypadnięciu z łodzi poszukiwaczy złomu przeszukujących podtopione wybrzeże w poszukiwaniu co cenniejszych surowców wtórnych. Tyle że żeby ta bajeczka przeszła, nie mógł dać się złapać z czymś więcej niż z podręcznym zestawem oddechowym i paroma drobiazgami, a już na pewno nie z pełnowymiarowym akwalungiem.

Nurek wdrapał się wreszcie na kładkę przy rurociągu i ruszył w stronę betonowych bloków mających się kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie niknął rurociąg. Zajęło mu to blisko kwadrans, a wyczerpało psychicznie niemal jak dopłynięcie do tego miejsca przez wzburzone morze.

– Wszedłem – powiedział, gdy precyzyjnie się do wnętrza budynku przez otwór, którym wchodziły rury. – Jak mnie słyszeć?

– Słabo, ale ujdzie – usłyszał w uchu poprzez trzaski. – Tu spokój. Ochrona najwyraźniej zamknęła się na głucho w tym swoim bunkrze i ma wszystko gdzieś.

– Tylko pilnuj, żeby was tam nie przydybali, jak burza zelży i poprawi się widoczność – rzucił nurek, podnosząc się z betonu.

– Spoko. Jestem pismakiem starej daty. Potrafię działać w terenie.

Nurek ruszył przed siebie. Światło latarki wyluskiwało wąski, ciemny korytarz biegnący wzdłuż rur. Kawalek dalej dostrzegł jakieś kable wychodzące z sufitu i spod rurociągu. Jaśniejsze ślady plus wystające śruby i zaczepy wyraźnie świadczyły o tym, że usunięto stąd jakąś aparaturę. Cóż, wszystko, co istotne dla działania tej placówki, skrupulatnie zdemontowano przed jej porzuceniem.

Około dwadzieścia minut później zszedł po jakichś schodach, trafiając do kolejnego z budynków, przez który przebiegał tajemniczy rurociąg. Stał u progu sporej komory wyglądającej jak coś z szalonego snu architekta zafascynowanego brutalizmem. Chwilę potem usłyszał dobiegające znikąd i zewsząd zarazem coś jakby cichutkie zawodzenie, jednocześnie odnosząc wrażenie, że cienie na skraju pola widzenia próbują uformować się w zgrubsza ludzkie sylwetki.

Nurek nie wyglądał na jakoś specjalnie zdziwionego.

\*\*\*

Człowieka, od którego dowiedział się o na wpół zatopionej placówce, spotkał zaledwie tydzień wcześniej. Stał wówczas na zabytkowej drabince z IKEA w dusznym korytarzu starego bloku mieszkalnego i starał się zmusić do działania szwankujący system

klimatyzacji piętra.

– Ty jesteś Dawid „Duch” Duchow – usłyszał, dłubiąc w otwartym nawiewie. – Znany w necie jako GhostStalker, ThePenetrator666, SilentExplorator i kilka innych osób o równie patetycznych nickach.

Był to wyjątkowo paskudny dzień. Z nieba lał się żar, żar tak koszmarny, że odbierał zwyczajnie chęć do życia. Nieludzki upał jeszcze uciążliwszym czynił wiatr niosący tumany odbierającego dech pyłu, pokrywających matową warstewką szyby okien i panele słoneczne zasilania uzupełniającego. Ulice na zewnątrz były puste; zero przechodniów, sporadycznie przejeżdżał jakiś samochód.

Typowe blokowisko polskiego miasta, początek kalendarzowej jesieni. Druga połowa dwudziestego pierwszego wieku.

Nazwany Duchem przyglądał się chwilę gościowi, zanim uznał, że nie ma sensu zaprzeczać.

– Jestem troszkę zajęty.

– Fucha złotej rączki?

– Po prostu nie ma kto się tym zająć – mężczyzna przerwał, by czymś solidnie szarpnąć wewnątrz nawiewu. – Chyba już gdzieś widziałem twoją głowę... Kim jesteś?

– Adam Meller.

Metaliczne odgłosy wewnątrz nawiewu na chwilę ustały.

– Nic mi to... Zaraz... Ten Adam Meller?

– Tak.

– Były dziennikarz BBC, znany z wywlekania na światło brudów wielkiego biznesu. Wywalony z wielkim hukiem za działania niezgodne z etyką dziennikarską. – Duch wyjrzał zza otwartej osłony nawiewu. Przyglądał się chwilę Mellerowi. – Czego chcesz?

– Nie jesteś zwyczajnym fanem urbexu i eksploratorem-amatorem wrzucającym w social media fotki i filmiki z tajemniczych miejsc.

– Serio? A kim jeszcze?

– Jest wkurwiająco gorąco, darujmy sobie podchody... Udawanie w necie kilku różnych eksploratorów zapewne ma ukrywać twoje prawdziwe zainteresowania. W innym przypadku ktoś by się mógł zacząć zastanawiać, dlaczego skupiasz się głównie na bardzo konkretnych opuszczonych obiektach z rejonów zbyt dotkniętych zmianami klimatu, by możliwe było utrzymywanie w nich działającej infrastruktury. – Meller zawiesił na chwilę głos. – Takich wchodzących w skład grupy kapitałowej BlackSun United.

Duch po raz kolejny wyjrzał zza osłony nawiewu.

– Przyjmując, że coś w tym jest... Do czego ci potrzebny ktoś taki?

Meller potarł brodę.

– Ostatni duży materiał. Naprawdę duży. Taki... na koniec świata.

Duch chwilę milczał, postukując tylko czymś pod odsłoniętymi wnętrzościami skomplikowanej aparatury. Sprawdził coś na tablicie podpiętym do systemu.

– Więc jesteś z tych, którzy uważają, że to koniec – wreszcie bardziej stwierdził niż zapytał.

– Ci, który nam opowiadają bajki o tym, że jest kijowo, ale już stabilnie i trzeba się przystosować, budują sobie schrony na zadupiach świata albo nawet próbują się wynieść na orbitę.

– Dobra, mów, co masz.

– Trop czegoś mocnego. Naprawdę mocnego.

– I zapewne gdzieś nad tym unosi się złowrogi cień BlackSun United?

– Dokładnie. Upraszczając: wychodzi na to, że pod pretekstem realizacji pomysłów typu filtr pyłowy na orbicie wokółsłonecznej teoretycznie mogący ochłodzić klimat przed osłabieniem wpływu słońca łąduje się gigantyczną kasę w jakiś horrendalny pomysł mający na celu ratować... – Meller zawahał się. – Mówiąc wprost: ratować tych, których stać zapłacić za ten przywilej... Dodam, że poszła na to forsa także ze środków publicznych, między innymi kilku krajów europejskich.

Duch przez chwilę stał w bezruchu na drabince. Wyraźnie nad czymś myślał.

– Jak rozumiem, trzeba gdzieś wleźć i rozejrzeć się. Gdzieś, gdzie nie jest prosto wleźć. Czego stamtąd chcesz? Takie miejsca zwykle są opuszczone i dokładnie wyczyszczone ze wszystkiego, co istotne, nawet jeśli pilnowane.

– Tyle się o zabawie w urbex naczytałem i naoglądałem filmików, że wiem, że zawsze coś zostaje. Zapomniane nośniki danych, jakieś urządzenia, dokumenty w formie papierowej, notatki, meble, narzędzia, jakieś osobiste pierdoły, elementy wyposażenia, których nie oplącało się demontować. A to oznacza numery seryjne, kody kreskowe, a czasem nazwiska lub całkiem konkretne informacje, których tropem można podążać... – powiedział Meller. Następnie dodał: – Jestem w kropce. Utknąłem, wszystkie tropy kończą się ślepo. Placówka, którą namierzyłem, jest w tym momencie ostatnią deską ratunku. Niestety, ot tak nie da się tam wejść.

Dziennikarz kłamał. Duch to czuł. Ale nie miało to specjalnego znaczenia. Dla Ducha było ważne jedynie to, co ten dziennikarz może wiedzieć i gdzie ewentualnie go doprowadzić.

\*\*\*

Duch był już w podziemiach, o dziwo niezatopionych. Przeszedł powoli przez kolejne dziwne, asymetryczne pomieszczenie jak z rojeń architekta-brutalisty. Szeroki strumień światła latarki wyłuskiwał z półmroku ściany jakby zbudowane z sześciennych bloków, każdy w innym rozmiarze, każdy umieszczony tak, że nie było dwóch w tej samej płaszczyźnie.

Komora absorbująca. Tak to nazywano. Była jednym z zabezpieczeń pasywnych tego typu placówek. Placówek Projektu Exodus.

Tu także coś usłyszał. Tym razem jednak nie zawodzenie, a bardziej jakby szepty. W zasadzie seria szeptów, jedne jakby pytające, inne zdające się aż dyszeć nienawiścią, a jeszcze inne wydające się głosami przerażenia.

Zignorował je. Poszedł dalej. Szyb, tego szukał. Szyb prowadzący setki metrów pod ziemię.

Szyb, którego Duch się spodziewał, znajdował się pod komorą absorbującą. Winda jednak musiała być na jego dolnym końcu. Co prawda, jeśli kwestie techniczne wyglądały tu tak jak w innych tego rodzaju obiektach, winda miała własne zasilanie, ale bez aktywnego zasilania głównego nie można było jej przywołać z powrotem na górę.

– Jest tu jakiś szyb – oznajmił Duch. Chwilę wcześniej nałożył okulary noktowizyjne i wyłączył latarkę. Nie lubił używać noktowizji, ale nie mógł zajmować rąk latarką podczas zjazdu. Spojrzał na okrągłe pancerne drzwi głównego wejścia, które widział teraz na zielonkawo. Za nimi była śluza przejściowa i podobne wrota. – Zejdę nim.

– Głęboki? Masz jakąś linę? – zatrzeszczał głos Mellera. Brzmiał jakoś dziwnie. Jakby nieszczercze?

– Jest drabinka serwisowa – oznajmił wymijająco Duch, nie chcąc wyjść na zbyt dobrze przygotowanego do eksploracji tego miejsca. Zaczepił karabińczyk miniaturowego wielokrążka zjazdowego o jakiś element konstrukcyjny przy jednej z prowadnic, na której poruszała się kabina lub platforma windy. Nie zamierzał korzystać z drabinki; zejście trwałoby zbyt długo. Sprawdził, czy węglowa nanolinka przechodzi bez oporów przez wielokrążek, naciągnął rękawiczki ochronne, doczepił karabińczyk do wielofunkcyjnej uprząży, do której wcześniej miał przypięty akwalung, odwrócił się tyłem do mrocznej otchłani szybu i bez ceregieli skoczył. Wyhamował kilka metrów niżej, spojrzął w dół, następnie powtórzył operację, tym razem wydłużając skok do około dziesięciu metrów. Potem był kolejny skok. I kolejny. Najchętniej zjechałby w jednym rzucie tak głęboko, na ile mógł sobie pozwolić, ale niestety ryzyko, że rozbije się na jakimś elemencie wzmocnień szybu,



uznawał za zbyt wysokie.

Popatrzył w górę wiedziony jakimś przeczuciem. Aż drgnął, mimo że w sumie spodziewał się takich widoków i wręcz był zdziwiony, że wcześniej się na nie nie natknął. Na szczycie szybu stała jakby postać utkana z ciemności, jednocześnie otoczona delikatną poświatą. Postać była niewielka, drobna, o dziecięcych proporcjach. Jednocześnie usłyszał coś. Brzmiało jak pytanie, tyle że wypowiedziane w nieznanym mu języku.

Odetchnął głębiej, następnie krótkimi skokami zjechał prawie sto metrów w dół. Linka miała sto dwadzieścia metrów długości, a dna szybu jak nie było widać wcześniej, tak nie było widać nadal. Ale to nie miało znaczenia.

Duch dotknął nosa i przez moment przyglądał się krwi na palcach wyglądającej na ciemnozieloną poprzez okulary noktowizyjne. Potem spojrzął pod siebie; szyb zdawał się drgać niczym widziany przez tafłę rozgrzanego powietrza. Tylko z dużo większą częstotliwością.

Strefa graniczna. Tak to się nazywało.

Opląciło się zaryzykować i pójść na współpracę z tym pismakiem. Dla kogokolwiek on tam tak naprawdę pracował, bo tego, że facet znalazł go i zatrudnił na czyjeś zlecenie, Duch był pewien. Popatrzył jeszcze raz pod siebie. Taki obszar niestabilności należało przekraczać w aktywnym ekranowaniu.

Aczkolwiek był jeszcze jeden sposób.

Jeśli akurat było się kimś takim, jak on, Duch.

Wahał się tylko chwilę, następnie odpiął karabińczyk zabezpieczenia, odbił się stopami od poprzecznej belki wzmocnienia, puścił linkę.

A gdy poczuł, że się rozpada – dokonał czegoś, co mądre głowy nazywały przesunięciem fazowym.

\*\*\*

Zaledwie kilka godzin przed pierwszym spotkaniem z Duchem Meller przez swój smartfon odbył rozmowę, która z pewnością by zainteresowała Ducha.

– Panie Smith, wykorzystanie tego człowieka może być błędem... Tak, wiem, normalny człowiek nie jest w stanie przekroczyć bez zabezpieczeń strefy granicznej, my tych zabezpieczeń nie mamy, a winda transferowa jest po przeciwnej stronie portalu... Tak, rozumiem... Nie, oczywiście, że nie mam wątpliwości... Po prostu ten Duch... Niech pan posłucha; BlackSun miało ten swój program tworzenia agentów z wymuszonym mechanizmem adaptacji, którzy mieli przekraczać portale jednostronne, przeprowadzić

rozpoznanie, tworzyć przyczółki odbiorcze celem ustanowienia stabilnych kanałów transferowych... Już się streszczam, przepraszam... Z informacji, do których dotarłem, wynika, że przynajmniej w naszej rzeczywistości takich agentów tworzono w wyjątkowo paskudny sposób. Ten Duch jest najprawdopodobniej taką osobą, wiemy też, że jest poszukiwany przez BlackSun... Panie Smith, to dezerter z ich szeregów, który... No który nie wiemy, co właściwie kombinuje. Czego on naprawdę szuka? Po co wchodzi do... – Meller nagle urwał, następnie dłuższą chwilę słuchał w milczeniu. – Tak, rozumiem – westchnął. – Ale, cholera, wiemy, że BlackSun uważa tego gościa za... – Meller znów urwał. Pokiwał mimowolnie głową. – Rozumiem. W porządku, jeszcze dziś go spróbuję przeko... Znaczący przekonam go do współpracy.

Meller rozłączył się. Potarł twarz zmęczonym ruchem. Nie dawało mu spokoju niejasne przeczucie, że popełniają koszmarny błąd, próbując wykorzystać tego Ducha. Cholera, tego człowieka jako kilkuletniego dzieciaka wpakowano w obszar graniczny, jeśli dobrze interpretował te strzępki danych, do których dotarł. Wpakowano i siłą utrzymywano przy życiu, licząc, że będzie tym jednym na ileś tam „obiektów”, który zamiast w końcu umrzeć, wykształci mechanizm adaptacji.

Co może siedzieć w głowie kogoś takiego? Po co ktoś taki może poszukiwać miejsc kaźni, w rodzaju tych, z którego jako jeden z nielicznych wyszedł żywy?

I najważniejsze – wewnętrzna безпеka BlackSun w razie odnalezienia faceta miała absolutny zakaz wchodzenia w bezpośrednią konfrontację, bez względu na ewentualną przewagę.

Zalecano „neutralizację” z możliwie dużego dystansu.

Czego się bali?

Tyle pytań bez odpowiedzi...

No ale, jak przypomniał Smith, ludzie finansujący całe przedsięwzięcie naciskali na efekty, więc...

– Szlag by to... – mruknął do siebie.

Miał naprawdę złe przeczucia.

\*\*\*

Obudowana klatką ekranującą platforma windy wlekła się na szczyt szybu prawie godzinę. Duch spędził ten czas, siedząc po turecku na jej środku i starając się nie myśleć o niczym. Gdy platforma ze szczękiem zatrzymała się, bez mrugnięcia patrzył w lufy

wycelowanej w siebie broni.

– Przykro mi – powiedział Meller. – Serio.

Meller naprawdę brzmiał, jakby było mu przykro.

Zaraz potem zamaskowani ludzie w rynsztunku bojowym chwycili Ducha pod ramiona i brutalnie zwlekli z platformy. Następnie Duch został przeszukany, odebrano mu całe wyposażenie, skuto ręce plastikowymi kajdankami z tyłu i rzucono na posadzkę. Dopiero wtedy jeniec zdołał rozejrzeć się na tyle, by ocenić sytuację.

Kilkunastu ludzi. Większość zamaskowana i uzbrojona, z których część pakowała teraz na platformę skrzynie, zapewne z jakimś sprzętem. Jeden teraz gmerał przy konsoli sterowania na platformie. Inny robił pomiary jakimś dziwnym sprzętem. Był też jeszcze jeden. Stał nieco z boku i przyglądał się wszystkiemu ze znudzoną miną.

– Ty dowodzisz tą imprezą? – zapytał Duch, podnosząc głowę.

Zero odpowiedzi. Duch chwilę przyglądał się sprzętowi ładowanemu na platformę. Sprzęt bojowy, ale też rzeczy typu przenośne generatory dużej mocy, coś, co wyglądało na sprzęt komputerowy do pracy w ekstremalnych warunkach i temu podobne rzeczy.

– Meller, o co tu chodzi? Dowiedzieliście się jakoś o Projekcie Exodus, tak? Chcecie wykorzystać jego infrastrukturę do swoich celów? Nie uda wam się.

– To nie twoje zmartwienie. Wiemy, co robimy.

– Na dole jest wszechświat równoległy oddalony o kilka ładnych stopni na osi podobieństwa od tego. A to znaczy, że występują już na tyle istotne różnice w prawach fizyki, że wasz zaawansowany sprzęt będzie działał w najlepszym wypadku wadliwie.

Meller patrzył na platformę z uwijającymi się na niej ludźmi.

– Wierz mi, wiemy, co robimy... To nie jest twój świat, prawda? Skąd do nas przybyłeś?

– Mój świat jest już pustynią niezdatną do życia. Efekt cieplarniany był znacznie silniejszy niż w waszym.

– Wszystkie równoległe Ziemie... – Meller zawahał się. – Są na wykończeniu?

– Na pewno wszystkie, do których BlackSun zdołał dotrzeć ze Świata Zero. Dlatego szukają dalej. Te w lepszym stanie mogą znajdować się zbyt daleko na osi podobieństwa, by prawa fizyki w ogóle pozwoliły na bezpośredni transfer nawet z tej rzeczywistości.

– Do jakiego świata prowadzi to przejście? – Meller ruchem głowy wskazał na platformę windy.

– Świat Zero. Świat Czarne Słońca.

– Żartujesz...

– To pewnie przejście awaryjne. Zakładam, że pozostawione na wszelki wypadek w stanie oczekiwania.

– Czego ty w ogóle szukasz? Po co ci to?

Duch uśmiechnął się ponuro.

– A ty? Chcesz zwać na wersję Ziemi, która ma szansę?

Meller milczał przez moment,

– Kojarzysz taki stary film *Mad Max*? Mam dzieci. I wnuka w drodze... Nie chcę, by dorastały w świecie jak z tego filmu. Bez względu na wszystko.

– Serio? Nawet bez względu na efekty uboczne tak otwierania nowych transferów, jak i transferowania dużych ilości materii przez już istniejące?

– Jesteśmy na na wpół zatopionym zadupiu. W promieniu prawie stu kilometrów praktycznie nie ma ludzi, więc nawet jeśli coś się zesra...

Duch pokręcił głową.

– To efekt narastający logarytmicznie. Jeśli nie odczekacie odpowiednio długo, by wygasły fluktuacje fazowe albo po prostu coś się spieprzy, będzie już falą uderzeniową. Z początku wyhamują ją komory absorbujące i inne zabezpieczenia pasywne, które pewnie gdzieś tu są, ale w końcu szlag je trafi, jak tę rozwaloną komorę, którą może widzieliście. A wtedy... – Duch zawiesił głos na moment. – Wy pewnie będziecie korzystać z jakichś aktywnych systemów zabezpieczeń stacjonarnych podczas przesyłania czegokolwiek przez portal, prawda? Wam więc nic nie zagrazi, a tymczasem fale zaburzeń będą być może rozchodzić się już na pół kontynentu...

Meller zmarszczył brwi, spojrzał na mężczyznę zdającego się być szefem całej imprezy. Milczał. Duch podjął po chwili:

– Po pierwsze: działacie za plecami BlackSun. Po drugie: tego miejsca za dwa, trzy sztormy może już nie być. To znaczy, że musicie się spieszyć. Stawiam, że zejdziecie do Świata Zero, by stamtąd sterować portalem, ale przerzutu docelowego dokonacie z tej rzeczywistości. To pogłębi negatywne efekty... Pół kontynentu pod wpływem kumulujących fal zaburzeń granicznych to ta optymistyczna wersja.

– O czym on... – zaczął Meller, nadal patrząc na człowieka wyglądającego na szefa przedsięwzięcia.

Duch wiedział, że nie ma czasu. W sumie nie wiedział, co chce osiągnąć, ale kontynuował:

– Słyszeliście może głosy, idąc tu? Widzieliście może postacie jakby zrobione z ciemności? To echa tych, którzy zginęli na styku wszechświatów. Bo jak zginiesz w strefie

granicznej, coś z ciebie zawsze zostaje – powiedział Duch. – A teraz wyobraź sobie, że ta strefa graniczna rozciąga się na pół planety. Nie można w niej przeżyć... Ale nie można też umrzeć.

Meller popatrzył wreszcie na Ducha.

– Pieprzysz...

– To stało się w Świecie Zero. Nie znam szczegółów, ale wybuchła jakaś rebelia. Przyspieszono zatem plany ewakuacji, nie czekając na wygaśnięcie fluktuacji fazowych po poprzednich transferach i olewając kumulację efektu granicznego na skutek tworzenia portali rozgałęzionych.

– Nie wierzę. – Meller pokręcił głową. – Nie pierdol. Nic tak nie wskórasz.

Milczący facet o wyglądzie bogatego bubka zwrócił wreszcie uwagę na Ducha. Nic jednak nie powiedział. Spojrzał tylko znacząco na jednego z najemników i skinął głową w stronę Mellera. Najemnik sięgnął do karabinka przyrzuconego przez plecy.

Padł strzał. Wytlumiony, bo broń miała tłumik. Meller upadł z przestrzeloną piersią i zdziwionym wyrazem twarzy. Drugi strzał roztrzaskał jego czaszkę.

– A ty morda w kubeł – powiedział najemnik, zarzucając broń z powrotem na plecy.

\*\*\*

Ruiny, gorący wiatr, monumentalna wieża wznosząca się ponad przysypanymi pustynnym pyłem ruinami. A nad wszystkim dysk czarnego słońca z otaczającą go rozpaloną koroną. Świat Zero. Świat, z którego na co najmniej kilka najbliższych położonych na osi podobieństwa światów równoległych przeszli ludzie, którzy założyli potem BlackSun United.

– Powietrze w normie – zameldował jeden z mężczyzn w ciężkich kombinezonach ochronnych, jacy wyszli z wieży. Pochylał się nad dziwną aparaturą rozstawioną na piasku. – Chociaż sporo zanieczyszczeń wyglądających na przemysłowe. Zaburzenia kwantowe na granicy błędu detekcji. Poziom promieniowania...

– Skąd w ogóle tu takie promieniowanie? – zapytał uzbrojony człowiek zza pleców technika, sprawdzający coś na wyświetlaczu przytwierdzonym do przedramienia.

– Prawdopodobnie efekt pracy superakceleratora – technik pokazał kciukiem za siebie, w stronę wieży transferowej otoczonej na wysokości około dwudziestu metrów znajomo wyglądającym rurociągiem. – W końcu po tej stronie pracuje w stanie zapętlenia, żeby utrzymać kanał transferu – wyjaśnił niepotrzebnie.

– A współczynnik różnicy? Podobno jest najważniejszy – zapytał stojący nieco z boku



mężczyzna kierujący całą operacją. Pan Smith. Tak się wszyscy do niego zwracali.

– Teoretycznie wystarczająco niski, by dało się tu ewentualnie żyć bez pól stabilizacyjnych.

– Wygląda gówniano – mruknął prawie jednocześnie Smith, patrząc w dysk słońca zaczerwioną chmurą pyłu na orbicie okołosłonecznej zsynchronizowanej z ruchem Ziemi, co co prawda ochłodziło klimat, ale wygenerowało też masę paskudnych skutków ubocznych. Dodał głośniejszym głosem: – Zwiad niech już rusza i znajdzie te schrony, które tu mieli według dokumentacji.

– Tak szybko? Powinniśmy...

– Tak szybko – uciął szef grupy i przełączył coś na przypiętym do ramienia komunikatorze. – Todd, jak tylko zwiad znajdzie schrony, techniczni galopem do nich i rozpracować ten system osłon aktywnych... Johanson – zwrócił się do dowódcy najemników. – Jak tylko utworzycie przyczółek, weźcie się za tego Ducha. Podłączcie go do prądu, nacpajcie, róbcie, co chcecie, byle wyśpiewał wszystko, co wie... Johanson? Cholera, jesteś tam?

Odpowiedziały mu trzaski płynące ze słuchawek.

– Z łącznością wszystko w porządku – usłużnie rzucił najemnik tachający na plecach połowę stację przekaźnikową.

I wtedy w słuchawkach wszystkich rozbrzmiał cichy głos:

– Johanson nie żyje.

– Do windy! – krzyknął Smith.

Niepotrzebnie. Najemnicy byli zawodowcami pierwsza klasa i wiedzieli, co robić, bez ponaglenia. Zaskakująco sprawnym krokiem, mimo ciężkich kombinezonów ochronnych, pognali w stronę uchylonych wrót wieży transferowej.

– Nie zdążycie – odpowiedział głos. – Ale chociaż jesteście bandą skurwieli, dam wam przyjacielską radę; zafundujcie sobie po kuli w łeb, zanim dotrę na górę. Inaczej to, co z was zostanie, spędzi wieczność nad zastanawianiem się nad swoimi grzeszkami.

– Nie uciekniesz i gówno nam zrobisz. Poddaj się. Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Żywego – zablefował Smith. – Jest dla ciebie miejsce w tym przedsięwzięciu!

– Jak dla Mellera?

– Meller był potrzebny ze względu na swoje zdolności zdobywania i kojarzenia informacji, ale był potencjalnie niepewnym ogniwem...

– Wiesz, po co zszedłem na dół? Żeby zablokować system zabezpieczeń na wypadek przeciążenia. Nie odblokujecie go, bo zniszczyłem CPU sterujące. Kula w łeb. To wasza

jedyna opcja.

– Możemy się połączyć z drugą stroną? – zapytał Smith. W jego głosie zabrzmiała pewna nerwowość.

– Łączę – odpowiedział operator polowego przekaźnika. – Ten kutas na szczęście nie...

– Jezu Chryste – rozbrzmiał jednocześnie w słuchawkach głos najemnika, który jako pierwszy znalazł się w okolicach windy. – Ale rzeźnia. Jak on to...

– Nieważne. Kraszew! Słyszycie mnie?! Odbiór!

– Słyszę – rozbrzmiał głos dowódcy grupy zabezpieczającej z rzeczywistości, z której przybyli. Coś było w nim takiego, że choć brzmiał wyraźnie, można było odnieść wrażenie, że przebył dosłownie nieskończone otchłanie pustki. – Jasno i wyraźnie.

– Jeniec nam się urwał! Jedzie na górę! Przechwyćcie go! Ale ostrożnie, drań jest bardziej niebezpieczny, niż sądziliśmy!

\*\*\*

Fakt, że grupa zabezpieczająca windę od strony Świata Siedem została ostrzeżona, nie miało żadnego znaczenia. Duch nie zabił wszystkich tylko dlatego, że dwóm najemnikom udało się zbiec z krwawej łaźni, jaką urządził, wykorzystując zdolność przesunięcia fazowego. Potem chwiejnym krokiem podszedł do swoich rzeczy rzuconych pod ścianę i ciężko usiadł na betonowej posadzce. Spędził ładnych kilka minut, odpoczywając. Następnie nałożył okulary noktowizyjne, gogle do nurkowania zawiesił na szyi, a do pasa przypiął miniaturową butlę z zapasem powietrza na kilkanaście minut. Wreszcie wstał i podszedł do ciężkich wrót, za którymi było już wzburzone morze zalewające tę placówkę wraz podnoszącym się poziomem mórz. Oparł następnie dłoń o zimną stal i skupił się.

Nie był sam.

Jedna postać, dwie, trzy... Wszystkie o zarysach dziecięcych sylwetek, wszystkie zdawały się go obserwować. Uświadomił sobie, że słyszy coś jakby szept dochodzący zewsząd i znikąd jednocześnie, sprowadzający się do „zrób to”.

Czasem wiedzieli. Wiedzieli, że przychodzi przynieść im ulgę, uwolnić od przerażającego piekła zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią, o które on zaledwie zawadzał podczas przesunięć fazowych i paru innych sztuczek, których zdolność nabył w wyniku przetrzymywania go jako dziecko w obszarze granicznym.

Gdy wykorzysta przesunięcie, by „przeskoczyć” poza budynek, naruszy strukturę

atomową wszystkiego, przez co przeniknie, a wzburzone morze dokona reszty. Tę wodę morską woda runie do tej komory, a następnie w dół szybu, ściągane nieubłaganą siłą grawitacji. Skutkiem będzie przeciążenie obszaru granicznego i jego implozja; na kilka nanosekund zniknie samonapędzające się zjawisko, które utrzymywało przy nie-życiu „echa” tych, którzy zginęli w strefie granicznej. Na skutek tegoż na obszarze infrastruktury transferowej po obu stronach tego portalu „zawieszeni” odejdą w nicość. Oczywiście zanim portal imploduje, pojawi się efekt uboczny w postaci fali zaburzeń rzeczywistości związanej z przesyłem dużej ilości materii, ale do przeciążenia dojdzie zbyt szybko, by zdążyło skumulować do niebezpiecznych wartości.

Tyle że przeciążenie wpłynie na utrzymujący kanał transferowym w stanie aktywnym superakcelerator na Świecie Zero. Nastąpi coś na kształt eksplozji jądrowej, a wraz z nią rozjedzie się tam fala uderzeniowa efektu granicznego zbyt silna, by cokolwiek ją zatrzymało. Wraz z nią wszyscy żywi pozostający w polu rażenia na Świecie Zero skończą jak te dzieciaki, które nie przeżyły umieszczenia w obszarach granicznych. To, co z nich zostanie, dołączy do miliardów „zawieszonych” z tamtego świata i jak oni pozostaną zatrzymani w momencie śmierci na wieczność.

Duch nie był w stanie niczego zrobić w kwestii Świata Zero, gdzie śmierć nie była końcem dla około połowy populacji. Mógł jedynie zamykać takie miejsca jak to, by przynieść ulgę tym, którzy po niepełnej śmierci pozostawali uwięzieni na ich obszarze – najczęściej dzieciom używanych przy tworzeniu takich jak on.

Zdecydowanym ruchem wsunął w usta ustnik aparatu oddechowego, naciągnął gogle nurkowe na twarz i przesunął się o moment kwantowy w skłębione morze tuż poza budynkiem głównym.



rys. Roman Panasiuk

# CZYSTY TALENT

Bartłomiej Mucha

– Zazdroszczę ci takiego męża. To prawdziwy skarb – powiedziała Agata.

– Jest wspaniały, muszę to przyznać – odparła Ilona, następnie upiła łyżeczek kawy.

Ilona wraz ze swoją najlepszą przyjaciółką Agatą siedziały w domu, popijając kawę i jedząc ciasto. Oboje uwielbiały swoje cotygodniowe spotkania, podczas których mogły się wymienić zasłyszanyimi plotkami, ale przede wszystkim pobyc w swoim towarzystwie.

– Ciągłe go udoskonalacie. Co jeszcze macie w planach? – zapytała Agata, rozglądając się po pokoju.

Ilona wraz z mężem mieszkała w starym dworku do złudzenia przypominającym zachodnioeuropejskie posiadłości. Budynek niegdyś należał do Francuza, który zainwestował swoje środki w Polsce w czasach ekspansji Napoleona na Rosję. Interesy szły mu całkiem

dobrze, lecz niekorzystny obrót spraw w bitwie o Wschód szybko skończył jego liczne biznesy. Większość Francuzów, jak i właściciel dworku, wróciła do Francji, a posiadłość została przejęta przez lokalne władze, z których to rąk go kupili. W budynku czuć było historię. Mieszkańcy żalowali, że miasto nie przykłada do niego jakichkolwiek starań. Marzyli, że niegdyś powstanie tu muzeum, do którego będą zjeżdżać ludzie z całej Polski; stało się jednak zupełnie inaczej. Mała miejscowość na wschodzie Polski z roku na rok była coraz biedniejsza, posiadłość popadała w ruinę. Gdy bogaty pisarz wraz z żoną zaproponował kupno za niebotyczną kwotę kilku milionów złotych, sprawa była przesądzona.

W taki sposób posiadłość trafiła do ich rodziny, a żadne z dwojga małżonków nie żalowało tej decyzji.

– Nie wiem. Czasami wpada nam do głowy jakiś pomysł, ale teraz już raczej nie będziemy tu ingerować. Jest idealnie – powiedziała Ilona, patrząc na sieć obrazów zdobiących świeżo pomalowane ściany.

– Tak tylko mówisz, oczywiście dopóki twój mąż nie zatraci swojego talentu – dodała Agata i wzięła cukierka z miseczki znajdującej się na środku stolika kawowego sprowadzonego z Mediolanu. – Właśnie. Szykuje się jakaś nowa powieść?

– Dobrze wiesz, że jeśli chodzi o pisanie, Karol jest skryty. Gdy zabiera się do pracy, zamyka się w swoim gabinecie i zabrania sobie przeszkadzać pod żadnym pozorem, co respektuję. Jest artystą i skoro taki sposób jest dla niego najlepszy, nie zamierzam go o to obwiniać.

– Nie o to mi chodziło, kochana. Czyli pracuje nad czymś nowym? – Agata nie zamierzała ustąpić.

– Coś zaczął, ale dobrze wiesz, że dopóki nie skończy, to nikt na świecie nie dowie się, o czym będzie kolejna powieść.

– Niebawem. Nie pracuje jak żaden z pisarzy. Jest w ogóle w domu?

– Nie. Poszedł do sklepu na zakupy.

– To sławni pisarze mają czas na zajmowanie się takimi przyziemnymi sprawami?

– Na to wygląda, że tak – odparła Ilona i pochyliła się do przodu. – Poza tym, gdyby się sprzeciwił, już dawno wykopałabym dziada z domu.

Kobiety zaniosły się śmiechem i dopiły kawę.

– Będę musiała się już zbierać, zresztą i tak się zasiedziałam – powiedziała Agata, podnosząc się.

– Nie ma problemu, naprawdę. Zresztą ani mi, ani Karolowi nie przeszkadzają twoje wizyty.



– Jesteś kochana, naprawdę. W pełni zasługujesz na takie życie.

Ilona odprowadziła Agatę do drzwi, co nie było takie proste, gdyż musieli minąć ciąg pokoi i korytarzy, w których łatwo było się pogubić.

– Dziękuję za wszystko i do następnego – powiedziała Agata i pocałowała przyjaciółkę w policzek na pożegnanie.

Ilona wróciła do salonu i rozsiadła się w swoim ulubionym fotelu. Poglądziła dłonią jego obicie, które w dotyku przypominało aksamit. Usłyszała charakterystyczny, głuchy trzask drzwi wejściowych.

– Cześć, kochanie. Czy my poważnie tyle jemy?

Do salonu wszedł Karol trzymający trzy wypełnione po brzegi torby. Schylił się powoli, by postawić je na ziemi, gdy z jednej z nich wysypały się owoce. Pomarańcza poturlała się do Ilony, która zatrzymała ją stopą.

– Na to wygląda, że tak. Zresztą to ciebie łatwiej ubrać niż wykarmić – powiedziała.

Podeszła do męża i pocałowała go w usta. Karol objął ją i przytulił mocno, tak jak lubiła. Poczula zapach jego kaszmirowych perfum z Włoch. Zabrała się do wypakowania zakupów, podczas gdy Karol wsadził rękę w jedną z toreb i szukał czegoś przez moment.

– Wiesz, że święty Mikołaj ma teraz wolne? – zapytał, uśmiechając się od ucha do ucha. – Znalazłem skurczybyka w parku. Powiedział mi, że z zasady daje prezenty tylko raz do roku, ale czasami robi wyjątki – kontynuował, po czym wyciągnął pięknie zapakowane zawiniątko. – Kazał cię pozdrowić i przekazać ci to.

Ilona wzięła od męża prezent i usiadła na krześle przy stole. Postawiła pakunek na kolanach, odetchnęła i rozwiązała kokardę. W środku znajdował się najpiękniejszy naszyjnik, jaki w życiu widziała. Jego blask nie mógł się z niczym równać.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Pocałowała męża jeszcze raz, dłużej.

– Mówię ci, nie wiem, skąd ten gość bierze takie rzeczy. Pewnie ma jakieś zniżki – odparł Karol.

Ilona uśmiechnęła się i poczuła, jak po jej policzku płynie pojedyncza łza. Karol pocałował ją w miejsce, w którym się zatrzymała.

– Dziękuję bogu, że na ciebie trafiłam – powiedziała.

– Nie, to ja dziękuję wszystkim bogom za to, że pojawiłaś się w moim życiu.

Ilona uśmiechnęła się, coraz mocniej czując żar w głębi serca.

– Niestety teraz muszę popisać. Przydało mi się trochę oddechu, lecz książka sama się nie napisze – powiedział i poszedł w stronę gabinetu.

– Karol – rzekła, zanim wyszedł z pomieszczenia.

– Tak?

– Nienawidzę cię najbardziej na świecie.

– Ja ciebie jeszcze mocniej, zołzo – odparł i odszedł.

Ilona wzięła się za wypakowanie zakupów. Kuchnia była połączona z salonem i jadalnią, co dawało ogromną przestrzeń. Przez pewien czas chodziła to do jednej, to do drugiej szafki, starannie segregując zakupy. Karol nalegał, by zatrudnili gosposię, żeby nie musiała zajmować się całym domem zupełnie sama, jednak stanowczo się nie zgodziła. Lubiła gotować i zajmować się domem, wiedziała, że dzięki jej pracy w domu panuje rodzinny klimat.

Skończyła wypakowywać zakupy i wyciągnęła z ostatniej torby mięso. Wstawiła je do mikrofali, by je rozmrozić. Miała ochotę przyrządzić swoją specjalność, którą tak bardzo lubili wraz z Karolem, klasyczną pieczeń z kaczki przyrządzoną wedle sposobu babci.

Wzięła do ręki prezent schowany w pudełku i jeszcze raz zajrzała do środka. O takich cudach marzyła jako dziewczynka. W snach dostawała takie podarunki od rycerzy walczących o jej serce. Rzeczywistość zbytnio od nich nie odbiegała, jej rycerz stał się realny i nie zamieniłaby go na nikogo innego.

Poznali się na studiach. Przed jednym z ważniejszych kolokwium z literatury chodziła pomiędzy regałami w miejskiej bibliotece. Pamięta to, jakby to było wczoraj. Wyszła z działu psychologii, kierując się na filozofię, nie zauważając, że pędzi wprost na niespodziewającego się niczego mężczyznę. Trzymany przez nią egzemplarz *Wstępu do psychoanalizy* Freuda poleciał w powietrze, by spaść kantem na podłogę. Stara książka nie przeżyła tego zbyt dobrze – kartki posypały się na wszystkie strony.

– O Boże, przepraszam pana – powiedziała i podeszła do masującego czoło mężczyzny.

– Wita się tak pani z każdym facetem? Karol – rzekł i wyciągnął dłoń.

– Jeszcze raz przepraszam.

– W ramach przeprosin może zgodzi się pani na kawę?

I tak się zaczęło. Oczywiście zaraz po całym zajściu podbiegła do nich zszokowana bibliotekarka, lecz nie było to istotne, gdyż okazało się, że znajomość przeistoczyła się w coś więcej.

Z przemyśleń wyrwał ją dźwięk mikrofali. Wyjęła mięso i wzięła się za przygotowywanie potrawy. Po chwili dom wypełnił dźwięk muzyki jazzowej i zapach mieszanek przypraw. Następnie pieczeń wylądowała w piekarniku. Kiedy pozostało już tylko poczekać na mięso, usiadła w fotelu z książką i zaczęła czytać.

Była to pierwsza powieść Karola – historia miłosna, w której dostrzegała wiele sytuacji nawiązujących do ich własnej.

Oboje byli studentami literaturoznawstwa. Ona marzyła o zostaniu krytykiem, a on pisarzem. Podczas pewnej kolacji u jego rodziców wyszło na jaw, że pisze. Ilona nic o tym nie wiedziała, a jego rodzice byli zszokowani, że najbliższa mu osoba nie ma pojęcia o marzeniach syna. Po trwających kilka miesięcy namowach przeczytała jego pierwsze opowiadanie. Karol bardzo niechętnie wysłał jej tekst na maila. Czekał z niecierpliwością na werdykt, gdyż jak dotąd nie dzielił się ze światem swoją twórczością. Wtedy była już na drugim roku studiów i wiedziała co nieco o książkach. Długo zastanawiała się, jak powinna postąpić w przypadku Karola, ostatecznie decydując się na wyjawienie całej prawdy. Opowiadania okazały się słabe. Stwierdziła, że skupi się na błędach, dzięki czemu będzie mógł je przeanalizować i następnym razem się poprawić. Efekt był jednak zupełnie inny. Karol załamał się po tym, co usłyszał, i przestał pisać. Wtedy Ilona nauczyła się, że dla najbliższych trzeba być bardziej wyrozumiałym. Pomimo jej szczerości nic pomiędzy nimi się nie zmieniło, a miłość kwitła.

Ukończyła studia z wyróżnieniem, tak samo jak Karol, lecz oboje nie mogli znaleźć pracy. Ilona zatrudniła się w barze, a Karol w księgarni. Z czasem zamieszkali razem, wynajmując obskurną kawalerkę na obrzeżach miasta. Pokoik aż po brzegi był wypełniony książkami. Do dziś pamiętała ten charakterystyczny, biblioteczny zapach rozchodzący się po małym pomieszczeniu. Wtedy, ni stąd, ni zowąd, Karol powiedział, że ma pomysł na powieść. Wzbraniał się od jakichkolwiek zapewnień. Nie chciał mówić o tym, co robi, zupełnie tak jak teraz. Po kilku miesiącach, gdy Ilona zaczęła już zapominać o książce, oznajmił, że właśnie skończył i bardzo by chciał, żeby na nią zerknęła fachowym okiem. Właśnie wtedy pierwszy raz przeczytała debiutancką powieść Karola.

Miłosna historia charakterem przypominała klasyki melodramatycznej literatury, lecz dodano do niej elementy współczesne, dzięki czemu z łatwością można było odnaleźć się w świecie przedstawionym. Przeczytała książkę w jeden wieczór, nieomal zapominając o pójściu do pracy. Powieść okazała się idealna – wartka historia pozbawiona błędów. Dawno nie czytała tak doskonałej literatury.

Piekarnik się wyłączył, pieczeń była gotowa. Odłożyła książkę na półkę i wyjęła kaczkę. Piękny zapach wdarł się w jej nozdrza, następnie szybko rozszedł się po pokoju. Postawiła talerz na blacie i nakryła do stołu najlepszą obiadową zastawą.

– Karol! – zawołała. – Obiad jest już gotowy!

Usiadła przy stole i spojrzała na zegarek. Kiedy po pewnym czasie nadal nie było widać męża, postanowiła go poszukać.

– Karol!? Wszystko w porządku?

Obeszła cały parter. Zajrzała do dwóch sypialni dla gości, pokoiku szykowanego dla dziecka, o którym marzyli, spiżarni, dwóch łazienek i do trzech jak dotąd niezagospodarowanych pustych pokoi. Poszła na górę, co jakiś czas wołając męża, lecz nadal bez rezultatu. Tam także zaglądnęła w każdy kąt. Wyjęła telefon i zadzwoniła do Karola, lecz nie było sygnału. Włosy zjeżyły jej się na karku, a ciałem wstrząsnął silny dreszcz. Czy coś mu się stało? Czy wyszedł na zewnątrz, coś sobie zrobił i teraz umiera gdzieś w odosobnieniu? Czy może ktoś wtargnął do ich domu, zaatakował go i teraz czyha na nią? Kolejne pomysły pojawiały się w jej głowie, kiedy uświadomiła sobie, że nie poszła jeszcze w jedno miejsce. Zeszła na dół i stanęła przed gabinetem.

Kiedyś, od razu po przeprowadzce, omyłkowo nacisnęła klamkę drzwi do gabinetu. Pracownia pozostała zamknięta. Zaraz później wyszedł z niej wściekły Karol, tłumacząc, że czymś takim przeszkadza mu w pracy. Od tej pory definitywnie przestała myśleć o gabinecie, a z czasem nawet przestał dla niej istnieć.

Stanęła przed drzwiami i nacisnęła klamkę, która tym razem ustąpiła. W pokoju rozniósł się dziwny zapach, kojarzący się jej w jakiś sposób z kościołem. Gdy zamknęła drzwi, zapadł półmrok. Ruszyła w stronę okna, skąd dochodziło blade światło. Szarpnęła za jedną z zasłon, ale nie potrafiła jej podnieść, jakby była w pewien sposób zablokowana. Wydawało jej się, że w rogu pokoju stało ogromne dębowe biurko. Pamiętała, jak wybierała je z Karolem w pewnym antykwariacie. Na meblu stała maszyna do pisania i coś jeszcze, czego nie potrafiła rozróżnić. Rozejrzała się za włącznikiem światła, lecz zupełnie nie miała pojęcia, gdzie może się znajdować. Wydawało jej się, że w pokoju brakuje jakiegokolwiek źródła energii. Nie mogła znaleźć ani jednego gniazdka, co dopiero mówiąc o lampie. Jednak abstrahując od tego wszystkiego, nadal nie widziała Karola. Przeszło jej przez myśl, że może zemdłał i leży gdzieś w rogu, a ona chodzi wokół niego, podczas gdy mąż wydycha ostatnie tchnienia. Zganiła się w duchu za chorą wyobraźnię i wyciągnęła z kieszeni telefon; włączyła latarkę i poświeciła po pokoju. Nadal nie było śladu męża. Na podłodze znalazła perski dywan, którego nie zauważyła, wchodząc do pokoju. Podeszła do biurka, kierując strumień latarki na dziwny przedmiot przypominający kawałek deski. Wtedy usłyszała głośny trzask drzwi wejściowych. Ruszyła ku wyjściu, po drodze potykając się o dywan i nieomal wpadając na wieszak stojący przy ścianie. Wyszła z gabinetu i powoli zamknęła drzwi. Weszła do kuchni, gdzie przy stole siedział Karol i nakładał sobie kawałek kaczki.

– Gdzie byłaś? – zapytał, zbijając ją z tropu.

– Mogłabym zapytać cię o to samo. Szukałam cię przez dłuższy czas i już myślałam, że coś się stało, a gdzie byłeś?

– W gabinecie, toalecie, a później przyszedłem tutaj, bo nie mogłem się powstrzymać, czując te pyszności.

– Nie rób mi więcej czegoś takiego – odparła Ilona, nadal stojąc przy stole.

– Uspokój się kochanie. Po prostu się minęliśmy, to wszystko. Siadaj i zjedzmy na spokojnie.

Usłuchała męża i nałożyła sobie ziemniaków. Wzięła mały kawałek mięsa, poląła go sosem i zabrała się do jedzenia.

\*\*\*

Wieczór okazał się naprawdę wyjątkowy. Karol poszedł na moment do samochodu, tłumacząc, że musi wymienić olej, i wrócił z bukietem polnych kwiatów. Kiedyś, gdy wręczył jej róże, został porządnie zrugany, gdyż Ilona nie cierpiała tych roślin. Wziął sobie to do serca i następnym razem przyniósł jej bukiet dzikich kwiatów wyglądający, jakby dopiero co je zerwał.

Spędzili wieczór przy lampce wina, oglądając ulubione seriale i cofając się do czasów ze studiów, gdy nie mając nic, byli naprawdę szczęśliwi. Po wszystkim kochali się namiętnie, jeszcze intensywniej niż zawsze, a Ilona zupełnie zapomniała o wcześniejszych wydarzeniach.

Kilka dni później, przechodząc korytarzem, usłyszała jakieś dziwne dźwięki dobiegające z gabinetu. Udała, że tylko jej się to wydaje, i poszła na górę po bluzę, gdyż zrobiło się chłodno. Gdy wróciła, dźwięki nie ucichły, a nawet przybrały na sile. Podeszła na palcach do drzwi i przystawiła do nich ucho. Nie potrafiła rozróżnić pojedynczych słów, ale z pewnością mogła przysiąc, że nie są to losowe zwroty. Po chwili zorientowała się, że gardłowe dźwięki są mówione przez jej męża. Głos podnosił się – słyszała kilka słów – a później cichł, by po chwili znowu rozleć się w gabinecie. Ilona tłumaczyła sobie, że po prostu nuci tekst jakiejś piosenki albo recytuje wiersz pomagający mu się skupić, tylko nie rozumiała, dlaczego nie słyszała go wcześniej.

Sama skoncentrowała się bardziej, gdyż wydawało jej się przez moment, że zza drzwi dobiega do niej odgłos uderzeń maszyny do pisania w przerwach pomiędzy inkantacją. Po



chwili ucichły zarówno głos, jak i maszyna. Ilona przybliżyła się, by wylapać, co się dzieje po drugiej stronie, kiedy drzwi się otworzyły.

– Co ty tu robisz? – zapytał Karol.

– Nic, przechodziłam – odparła Ilona, krzyżując ręce na piersi.

– Wiesz, że czymś takim mi przeszkadzasz? Słyszałem, jak stałaś pod drzwiami i podsłuchiwałaś! – podniósł głos Karol.

– Nieprawda. Tylko przechodziłam obok!

– Nie pierdol.

Ilonę zaskoczyło to, co usłyszała, gdyż jak dotąd Karol nigdy nie używał takiego słownictwa, zwłaszcza w stosunku do niej.

– Może nie byłoby takiej sytuacji, gdyby nie te twoje chore zasady.

– Potrzebuję prywatności, ale najwyraźniej to dla ciebie za trudne.

Ilona spojrzała mu głęboko w oczy i odeszła bez słowa. Szybkim krokiem skierowała się na taras, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem. Oparła się o balustradę i spojrzała w dal. Nie poznawała swojego męża. Nigdy nie zachowywał się jak dupek, w dodatku to siedzenie w gabinecie, pomyślała Ilona. Kiedy próbowała odgadnąć motywy postępowania męża, naszła ją ochota na papierosa.

Rzuciła fajki kilka lat temu. Popalała głównie z powodu rówieśników, aby wpasować się do grupy, co i tak nie zadziało, lecz nałóg pozostał. Kiedy poznała Karola i zdała sobie sprawę, że w kryzysowych chwilach zamiast palić, można spędzić czas z ukochanym, zapomniała o papierosach. Nie czuła głodu od tamtego czasu, jednak powrócił ze zdwojoną siłą, jakby tylko czekał na odpowiedni moment, dobrze wiedząc, że w końcu nadejdzie.

Kucnęła i sięgnęła dłonią pod spód fotela. Stara paczka fajek, schowana od razu po przeprowadzce, nadal była na miejscu. Pomimo folii ochronnej zdążyła już wchłonąć trochę wilgoci. Ilona rozerwała folię i schowała do kieszeni. Otworzyła paczkę, ze zdziwieniem zauważając, że papierosy wcale nie zamokły. Wzięła pierwszego lepszego i wsadziła sobie do kącika ust. Zapach jeszcze niepodpalonego tytoniu sprawił, że już nie mogła się powstrzymać. Podeszła do grilla stojącego w rogu i na dolnej półeczce znalazła paczkę zapalek. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się. Płuca zapomniały, jak smakuje nikotyna, gdyż pierwszy wdech poskutkował nagłym atakiem kaszlu, lecz każdy kolejny smakował jak ambrozja, a przede wszystkim dał jej ukojenie, którego potrzebowała.

Szybko wypaliła papierosa i zgasiła go o balustradę. Zrzuciła popiół na trawę i wsadziła peta do kieszeni. Myślała, że będzie czuła wyrzuty sumienia, lecz nic takiego nie miało miejsca. Czuła tylko ciekawość, którą podobnie jak wcześniej musiała zaspokoić.

\*\*\*

Kiedy następnym razem małżonek poszedł na miasto, nie zamierzała beczynn timer czekać. Od razu udała się do gabinetu. Wyciągnęła spinę i wsadziła do zamka. Niestety tak łatwa w sensacyjnych filmach sztuczka okazała się znacznie trudniejsza w rzeczywistości. Spinka wchodziła do zamka bez problemu, lecz za każdym razem kończyło się to bezowocnym szarpaniem. Wreszcie udało jej się odpowiednio ją nakierować i zamek ustąpił.

Pokój wyglądał niemalże tak samo. Na półkach niewidzianej wcześniej biblioteczki stały dobrze znane jej książki w twardych wydaniach. Spojrzała na biurko, na którym leżał pusty notatnik. Otworzyła go i zerknęła na niezrozumiały ciąg słów. Przepisała ten tekst w Google, ale odnalazła tylko odnośniki do obcego języka. Weszła w jedną z pierwszych stron internetowych i zaczęła czytać. *Język enochiański, zwany także językiem aniołów, był używany przez osoby zajmujące się magią głównie do kontaktu z wyższymi istotami.* Co to wszystko ma znaczyć, pomyślała i rozejrzała się jeszcze po pokoju, nie chcąc tracić więcej czasu. Znalazła kilka książek traktujących o magii, które stojąc pomiędzy dziełami klasyków takich jak Szekspir czy Dumas, nie zwracały początkowo jej uwagi.

Pootwierala szuflady biurka, nie znajdując w nich nic godnego uwagi. Wyszła z gabinetu, znowu zamykając drzwi spiną, co tym razem przyszło jej o wiele łatwiej. Karol nadal się nie pojawiał, więc postanowiła poczytać więcej o okultyzmie w internecie. Przeglądając kolejne strony, z których większość wyglądała jak stworzona przez żądnych przygód nastolatków, miała coraz większe obawy. Trafiała także na pewne strony grup zajmujących się okultyzmem na poważnie. Znalazła naprawdę rzetelne artykuły z przypisami i bibliografią zgodną z wymogami akademickimi, co zaniepokoiło ją jeszcze bardziej. Nie znała męża z tej strony. Przez cały ten czas, gdy się spotykali, nigdy nie przejawiał dziwnych zachowań. Praktycznie nie wychodził z domu, co uniemożliwiłoby mu uczestnictwo w tego typu zgromadzeniach. Jednak z tego, co przeczytała, wychodziło, że większość osób zajmowała się magią we własnym zaciszu, a akurat Karol miał do tego idealne warunki.

\*\*\*

Karol codziennie spędzał czas w gabinecie. Przez kilka dni nie ruszał się z domu, lecz gdy następnym razem musiał na pewien czas wyjść, Ilona zaczęła realizację swojego planu. Po wejściu do środka, podłączyła kupioną wcześniej kamerę w rogu pokoju i weszła na podaną przez producenta stronę internetową. Aktywowała sprzęt przyciskiem z tyłu kamerki

i po zalogowaniu się na ciemnym ekranie pojawił się obraz gabinetu. Poprawiła kamerkę tak, by obejmowała cały pokój, i wyszła.

Podziękowała Karolowi przynajmniej za jedno. Dzięki jego pieniądзом udało jej się kupić naprawdę profesjonalny sprzęt. Wyłączyła telefon, wiedząc, że na chmurze i tak zapisuje się każda minuta.

\*\*\*

Po kilku godzinach Karol wrócił do domu. Jeszcze nigdy nie zniknął na tak długo, lecz w tym momencie jej to nie obchodziło. Minął ją bez słowa, kierując się do pokoju. Wsadził swój kluczyk do zamka, by po chwili zniknąć za drzwiami.

Ilona, nie zwlekając, wyciągnęła swojego laptopa, by mieć większy obraz. Weszła na stronę i już po chwili miała przed sobą gabinet.

Karol siedział przy biurku i zapisywał coś w swoim notatniku. Gdy skończył, wziął telefon i bawił się nim przez moment, po czym przerwał i podszedł do barku. Wyciągnął butelkę whisky i pociągnął duży łyk. Odstawił alkohol na półkę i ukląkł na podłodze. Ilona przybliżyła kamerkę, by dostrzec, co robi. Karol podważył wyciągniętym z kieszeni kluczem jedną z klepek i powyciągał kolejne. Gdy uznał, że otwór jest odpowiedni, wyciągnął ze środka kawałek drewna, który widziała ostatnim razem. Gdy zaczął rozkładać drewnianą planszę, rozpoznała w niej tabliczkę Ouija. Na moment odsunęła się od ekranu i popatrzyła na powoli wchodzący na nieboskłon księżyc.

Spodziewała się wszystkiego, przypuszczała, że będzie nawet zajmował się czarną magią, ale nie czymś takim. Już za pierwszym razem wydawało się jej, że kawałek drewna, który miała przed sobą, posiadał za dużo szczegółów, by być zwykłą podkładką. Plansza rozkładała się na dwie części, przez co ostatnim razem nie od razu skojarzyła, z czym ma do czynienia. Zapalił kilka małych świeczek i ustawił je wokół leżącej na podłodze tabliczki. Blisko świeczek ustawił maszynę do pisania. Wyciągnął wskaźnik znajdujący się po drugiej stronie tabliczki i postawił go na jej środku. Położył dłonie na jego przeciwległych krańcach i powiedział pierwsze słowa. Przemawiał powoli, mówiąc wyraźnym, niskim głosem. W kamerkę był wbudowany dyktafon, lecz pomimo tego nie potrafiła zrozumieć, co mówił. Po kilku minutach ucichł, po czym znowu powiedział szybkie, niezrozumiałe zdanie. Wskaźnik zadrżał i zaczął się przesuwac. Z początku powoli, następnie coraz szybciej. Przeskakiwał pomiędzy literami, a kiedy się zatrzymał, Karol zdjął palce ze wskaźnika i pochylił się nad maszyną. Napisał szybkie zdanie i wrócił do tabliczki.

Dokładnie obserwowwała całe zdarzenie, wreszcie zaczynając rozumieć, co działo się wokół niej przez ostatnie lata. Karol kontynuował rozmowę; zapamiętywanie tekstu, tłumaczenie i przepisywanie trwało ponad dwie godziny. Ponownie ucichł, następnie przyłożył otwartą dłoń do tabliczki, powiedział jedno słowo i zgasił świeczki. Przetarł oczy i przeciągnął się, by nieco ulżyć plecom, zmęczonym poprzez tkwienie w niewygodnej pozycji. Usiadł na krześle, wcześniej wyciągając z barku rum. Wlał sobie pokaźną ilość trunku do szklanki i umoczył usta. Skrzywił się nieco i odstawił drinka na blat. Zawiesił wzrok na ciemnozłotym płynie, rozmyślając o swoim życiu.

Zamknęła laptopa. Jeszcze nigdy nie poczuła od niego alkoholu, więc musiało się to zacząć niedawno. Niemniej jednak była po prostu zaniepokojona.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i wyszedł z nich Karol. Poszedł do kuchni i nalał sobie szklankę wody. Obserwowała, jak pije duszkiem, po czym odstawia pustą szklankę na blat, niemalże ją rozbijając. Wracając do gabinetu, potknął się i w ostatniej chwili złapał się lodówki. Ilona podskoczyła do męża w ostatnim momencie, chroniąc go przed upadkiem na twardą marmurową posadzkę.

– Nigdy nie miałem głowy do picia, kochanie – powiedział, szukając żony wzrokiem.

– Wszystko dobrze, usiądźmy.

Zaprowadziła męża na kanapę i usiadła obok niego.

– Nie mogę, muszę teraz pracować – rzekł i spróbował wstać.

– Siedź spokojnie. Musimy porozmawiać.

Karol zdawał się nie słyszeć słów żony, całą uwagę koncentrując na otwartych drzwiach gabinetu.

– Zaraz przyjdę – oznajmił i czknął. – Tylko muszę coś zrobić.

– Zostań! – podniosła głos Ilona. – Wiem o wszystkim, o tym, co robisz w tym pieprzonym gabinecie.

Karol, słysząc te słowa, lekko otrzeźwiał.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Powiedz mi, od kiedy się tym zajmujesz. Koniec z kłamstwami.

Karol popatrzył żonie głęboko w oczy, następnie się rozplakał. Ilona przyciągnęła mężczyznę swojego życia do piersi. Po chwili opanował się i pochlipując co jakiś czas, zaczął mówić:

– Zaczęło się to jeszcze na studiach. Jeden z moich znajomych zajmował się okultyzmem i podsunął mi pewną książkę, jak się domyślasz, o wywoływaniu duchów. Pamiętasz, że zawsze lubiłem być dobrze przygotowany do pracy, więc dokładnie ją

przestudiowałem. W miarę jak zagłębiałem się w historię, postanowiłem osobiście spróbować tego, o czym pisał jej autor. Wiesz, chciałem poznać temat dogłębnie. Pierwszy seans miał miejsce w naszej piwniczce.

Przetarł dłonią i twarz i kontynuował:

– Tak naprawdę za każdym razem, gdy mówiłem, że idę na rower, szedłem do piwnicy. Już podczas pierwszego seansu okazało się, że to działa. Początkowo weryfikowałem fakty przekazane przez duchy. Zawsze prosiłem najbliższe mi istoty o przyjęcie, dzięki czemu niwelowałem możliwość podświadomego oszustwa. Po kilku kolejnych seansach, sprawdzeniu podanych przez nie informacji i nabyciu pewności, że to wszystko jest prawdziwe, w mojej głowie zrodził się pomysł, pomysł, którego realizacji żałuję do teraz. Wezwałem pierwszego lepszego zmarłego pisarza, który przyszedł mi do głowy. Czekałem dosyć długo, jednak wskaźnik ani drgnął. Dwie następne próby również skończyły się fiaskiem. Spróbowałem jeszcze raz i wtedy się udało. Poprosiłem o jakiś tekst, o to, by podyktował mi krótkie opowiadanie, nieopublikowane dla szerokiej publiczności. Ku mojemu zdziwieniu wskaźnik zaczął kursować pomiędzy literami, a ja robiłem sobie przerwy na zapisywanie i wracałem do rozmówcy. Wiadomości okazały się niekompletne, często zniekształcone, nie były możliwe do przekazania – w takich przypadkach cierpliwie i ze spokojem prosiłem o powtórzenie. Po przeredagowaniu pierwszego opowiadania doszedłem do wniosku, że jest to coś naprawdę dobrego, a wręcz wspaniałego. Sprawdziłem cały dorobek pisarza, nie odnajdując tego tekstu w jego opublikowanych zbiorach. Po kilku takich próbach postanowiłem, że należy wziąć się za coś większego.

– Zaraz – powiedziała Ilona, potrząsając ze zdumieniem głową. – Skoro to było takie proste, to dlaczego nie robili tego przed tobą inni?

– Skąd wiesz, że nie robili? Może ci sami pisarze pojawiają się w księgarniach nawet po swojej śmierci?

– Nadal nie rozumiem, dlaczego dopiero teraz się o tym dowiedziałam.

– Zrobiłem się nieostrożny, za głośny, nieuważny. Byłem tym wszystkim zmęczony. To wszystko zaczęło mnie przerastać.

– Czyli zamierzałeś mnie okłamywać w nieskończoność?!

– To nie tak.

– Skoro odkryłeś coś takiego, dlaczego publikowałeś pod swoim nazwiskiem?

– A co miałem zrobić? Jakbym powiedział, że to wszystko dzięki wiadomościom z zaświatów, kto wzięłby mnie na poważnie?

– Plagiat to jednak plagiat. To nie twoje słowa, a zarobiłeś na nich fortunę!

– Jak dotąd ci to nie przeszkadzało – odparł.

Ilona wstała oburzona i podeszła do okna. Wpatrzyła się w krajobraz za szybą, zdając sobie sprawę, że to wszystko nie powinno przypaść właśnie jej.

– Jak śmiesz tak mówić – wycedziła przez zęby. – Zawsze cię wspierałam. Robiłam wszystko, by ci się udało.

– A ja zrobiłem wszystko, byś miała życie, na które zasługujesz.

– Zrobiłeś to dla siebie. Zawsze miałeś tę swoją chorą ambicję. A ja głupia wierzyłam, że odnalazłeś w sobie talent.

– Słuchaj, kochanie – powiedział Karol, podchodząc do żony. – Nie robię nikomu krzywdy, nikogo nie wykorzystuję. Za każdym razem pytam, czy istoty chcą mi pomóc. To prawdziwi pisarze i pozostali nimi również po śmierci. Myślisz, że za czym naprawdę tęsknią? Za rodziną, za domem, za ojczyzną? Pierdolenie, tęsknią za pisaniem. W każdym z nich siedzą wspaniałe historie czekające na wyjście na światło dzienne.

– Ale to oszustwo! – podniosła głos Ilona i odwróciła się do męża. – Prawdziwi pisarze nienawidzą oszustów, z nimi jest inaczej?

– Niestety nie mają już większego wyboru. Daję im ukojenie, którego tak bardzo potrzebowali, spokój, którego pragnęli, dokończenia tego, co zaczęli. Czy właśnie nie o to chodzi w sztuce? O to, by dawać innym coś od siebie, pewną mistyczną cząstkę, która pozwala artystom widzieć więcej?

Ilona patrzyła w oczy męża, nadal kipiąc nienawiścią. Te wszystkie kłamstwa i manipulacje. Spodziewała się najgorszego, ale nie czegoś takiego.

– Nie kusi cię, by napisać coś swojego? – zapytała w końcu.

– Może i mam pewien pomysł. Nigdy nie będę wieszczem, pisarzem pełną gębą, ale czy o to naprawdę chodzi? Ludzie chcą po prostu dobrej historii, takiej, która mogła wydarzyć się naprawdę. Wydaje mi się, że moja jest całkiem niezła.



rys. Zvyrke

# JOHAN

Mateusz Dębski

Noc ma w sobie pewną dwuznaczność. Z jednej strony budzi lęk i niepewność wśród ofiar, ale z drugiej jest szansą dla drapieżników. Noc budzi lęki, a zarazem zapewnia bezpieczeństwo, okrywa nas kocem ciemności w taki sam sposób, jak naszych oprawców. Co dzieje się jednak, gdy spotyka się para drapieżców? Fakt, że jeden poluje na drugiego, nie wyklucza sytuacji, w której role te mogłyby się obrócić. Wektor polowania rozciąga się w dwóch kierunkach, spotykając się w mrocznym centrum nocy. Ciemność ta staje się błogosławieństwem, ponieważ chroni prawdziwe ofiary przed wglądem w czyny, które mają nastąpić pod jej osłoną.

Siedział na grubej gałęzi, miał podwinięty rękaw, który opierał się o pasek mocno opinający jego rękę. Wbił igłę i wpuścił płyn do żyły. Odchylił głowę, wziął głęboki oddech

i wyciągnął żądło trucizny. Czasy zmieniały się szybko, postanowił jednak nie przejmować się tym faktem. Jeszcze parę lat temu uznalby ten wynalazek za dziwactwo. Z czasem dziwactwa stawały się częścią jego życia a nawet celem jego egzystencji. Tok myśli został przerwany przez substancję rozprzestrzeniającą się w organizmie. Spojrzał w stronę doliny, gdzie spokojnie czekał na niego domek. Las wokół był gęsty, ustępował jedynie drobnemu terenowi stanowiącemu pewnego rodzaju zagłębienie wolne od drzew. Księżyc świecił intensywnie, z każdą sekundą stawał się coraz jaśniejszy. Johan wiedział, że substancja zaczyna działać. Poprawił rękawice i wyszeptał słowa inkantacji. Gdy zaczynał swoją karierę, był to jeden z najtrudniejszych momentów. Miał iść zwalczać zło, pomagać zwyciężać dobru i światłości. Dlaczego zatem musiał być częścią nocy, truć się toksynami i przyzywać bluźniercze imiona demonów? Obecność mrocznych mocy stała się częścią jego życia. Przybierający ludzką postać mrok skrywał się zawsze gdzieś na końcu pola widzenia. Jego obecność zachęcała do działania, przytłaczała także trudnym do zniesienia smutkiem.

Westchnął ponownie i upewnił się, że ma ze sobą broń. Zazwyczaj używał swojej długiej szabli, ale miał także parę pistoletów skałkowych. Wchodząca nowoczesność zdawała się niszczyć wszystko, co nadnaturalne, dlatego rzadko łączono te dwie rzeczywistości. Naprawdę niebezpiecznie robiło się wtedy, gdy obie były zaprzęgnięte w diabelski rydwan Belzebuba. Nie tylko on korzystał z nowych technologii. Przeciwnicy także doceniali bogactwa i możliwości płynące z rozwoju techniki. Nawet proste wiedźmy używały nowych narzędzi, dekoltów czy nawet elektryczności. Czy teraz było podobnie? Tego nie wiedział. Jego powołanie zawsze łączyło się z ryzykiem. Czarna magia zawsze wzbudzała strach, ponieważ była nieprzewidywalna i złowroga nawet dla posługującego się nią. Człowiek nigdy nie mógł ocenić, czy to, co się dzieje, jest naturalne, czy też nie. W przypadku gdy mroczny oprawca posługiwał się magią i techniką, granica zdawała się nie do uchwycenia. Jednak Johana nie interesował naukowy podział, był zbyt skupiony na przeżyciu.

Zeskoczył z drzewa i bardzo delikatnie wylądował na ziemi. Wokół panowała cisza, żadne zwierzę nie chciało zbliżyć się do niskiej chatki. Było to normalne zjawisko w przypadku domu wiedźmy. Natura szczerze nienawidziła tych bestii przybierających ludzki kształt czy też ludzi wynaturzonych do takiego stopnia, że nawet ziemia brzydziła się nimi. Jednym z powodów palenia wiedźm był powszechnie znany fakt odrzucenia ich przez ziemię. Zwłoki kobiety oddanej Czarnej Kozie były odrzucane przez Matkę Ziemię i na nowo nabierały życia. Ogień zdawał się powstrzymywać te istoty na dłużej. Naiwni myśleli nawet, że w taki sposób uśmiercają te obrzydłe monstra, ale były to jedynie płonne nadzieje. Walka ze złem była równią pochyłą. One wracały, zawsze wracały. Za każdym razem silniejsze,



sprytniejsze i bardziej nieludzkie. Najwidoczniej po śmierci wracały do swojego Pana w piekle i tam odbierały od niego nagrody. Nie można było tego powiedzieć o Mistrzach. Czas odbijał się na nich coraz mocniej. Groziło im szaleństwo, opętanie czy zwykłe więzienie. Wiedźmy potrafiły wytworzyć wokół siebie atmosferę współczucia. Od czasu do czasu pomagały ludziom w ich dolegliwościach, ratowały przed śmiercią i chorobami. Faktycznie robiły to wszystko, ale w tym samym czasie wprowadzały dwukrotnie więcej zła do świata.

Zwykły, niski, przysadzisty dom. Z góry pokryty słomą, z oknami otoczonymi drewnianymi ramami. Sielankowe miejsce, które zdawało się pachnieć chlebem i ciepłą strawą. W rzeczywistości jednak mroczna brama, czyhająca na nieświadomego człowieka. Piekielne Łono, które z lubością przyjmowało każdą ludzką duszę. Cyniczny dom ucieczki i pomocy, który ofiarował jedynie strach i śmierć.

Johan wyciągnął szablę. Stał przed wejściem i nasłuchiwał. Nie było żadnego sensu w kryciu się. Widziała go i czuła, a on doświadczał jej mrocznej obecności. Drzwi otworzyły się przed nimi z wyraźnym skrzypieniem. Wewnątrz panowała ciemność i cisza. Pomyślał o sobie, że jest żaloszny. Stał tutaj z kawałkiem metalu, przekonany, że wystarczy on do walki z wół materialną bestią czekającą na niego w środku. Zrobił krok na przód. Pentagram wyryty na jego plecach zaczął płonąć bólem. Usłyszał głosy, najpierw bardzo ciche, a z czasem przypominające krzyk. Ktoś śmiał się, ktoś płakał. Szepty dobiegały z każdej strony, ale Mistrz nie szukał ich źródła. Wszystko działo się w jego głowie, jak to mówili prości ludzie. Johan miał jednak świadomość, że miejscem bitwy jest jego dusza. Postawił krok na pierwszym stopniu niskich schodów. Chłód przeszedł mu po nodze i opanował całe ciało. Czuł ogarniający go lęk. Myśl o ucieczce ogarnęła jego umysł, kazała mu znaleźć bezpieczne miejsce i zaszyć się tam na zawsze. Jednak rozsądek już dawno przestał być jego doradcą. Johan nie był zdrowy psychicznie. Nie był zdrowy pod żadnym względem. Jego misja nie pozwalała mu na ten piękny stan. Zrobił kolejny krok, zatrzymując się na progu uchylonych drzwi.

Wyciągnął przed siebie lewą rękę, która wiła się niczym wąż palony w ogniu. Ból, o który go przyprawiała, faktycznie przypominał ognistą truciznę. Przed wyruszeniem ponacinał się bowiem nożem, specjalnie podrażnił nerwy. Rany zalał specjalnym płynem, który nie pozwalał im się zbliżnić. Krew spływała wzdłuż rękawa, a ból nie dawał o sobie zapomnieć. Z wielu powodów takie samookaleczenie było zbawienne. W ten sposób nieustannie składał ofiarę demonom, ból wyostrzał zmysły i ciągnął ku rzeczywistości, a zarazem był przynętą. Ciało Mistrza było całe oszpecone licznymi bliznami. Minęło już

dwadzieścia lat, odkąd wstąpił na drogę swojej profesji. Dokonał tego rytualnym kozikiem, który zawsze mu towarzyszył. Nie był świadomy posiadania go. Lepiej było nie wiedzieć, że ma się rytualne narzędzie. Podświadomość Mistrza przyzywała tę broń jedynie w najgorszych wypadkach.

\*\*\*

Łowcy Czarownic, zwani Mistrzami, byli osobną grupą w społeczeństwie. Nikt nie wiedział, nawet oni sami, w jaki sposób odkrywali w sobie to powołanie, czy raczej piętno. Często kusily ich demony, które liczyły na nowego wyznawcę. Czasem powodem była ludzka potrzeba. Wtedy szukano odpowiednio silnej sieroty i przekazywano ją, jak niewolnika, jednemu z Mistrzów na szkolenie. Niebezpieczeństw było wiele, zbyt wiele, aby rozsądny człowiek mógł świadomie wybrać tę profesję. Wielu odrzucało ją z powodu jawnego zła, które było częścią życia każdego Mistrza. Johan pamiętał, jak zgłębiał tajniki anatomii, zarazem czytając o najlepszych sposobach na zadanie bólu. Uczył się, jak skutecznie polować na ludzi, ściąć ich do opuszczenia własnych domów. Potrafił tygodniami dręczyć wybrane przez siebie dziecko, którego przyszłość miała należeć do Bafometa, Azazela czy jakiegoś jeszcze gorszego bytu. A jednak zwalczali zło. Wielu uważało, że tak jak więdźmy czynią go więcej, niż zwalczają. Jednak Mistrzowie nie zajmowali się obliczeniami. Wielka moc i wynikające z niej zło przywoływały ich jak ogień ćmy. Nikt nie miał wątpliwości, że ostatecznie spłoną w jej ogniu.

\*\*\*

Wszedł bardzo ostrożnie, cały czas upewniając się, że ma za sobą drzwi. Wnętrze wyglądało normalnie. Pokoje nie były oddzielone ścianami, przynajmniej nie wszystkie. Z tego miejsca wyraźnie widział kuchnię i pokój z dużym bujanym fotelem. Broń w jego ręce delikatnie skierowała się w stronę kuchni. Szabla zmieniła kształt, swoimi ruchami przypominała żywe srebro. Tradycyjna broń Mistrzów zawsze wskazywała obecność niegodziwej energii. Kuchnia wprawdzie wyglądała normalnie, ale z pewnością nie służyła do gotowania potraw. Kilka kroków naprzód i drzwi zamknęły się z trzaskiem. W pokoju zrobiło się całkowicie ciemno, tak jakby ktoś spuścił na niego całun nieprzeniknionej ciemności. Johan zatrzymał się w miejscu, nie wykonał żadnego ruchu. Coś chodziło po pokoju. Przez chwilę słyszał odgłos wielu małych stópek biegających tam i z powrotem. Jakieś małe

dziewczynki szeptały do siebie, ktoś powoli skradał się za jego plecami. Mimo absolutnej ciemności prześladował go blask żółtych ślepi. Złapał błysk unoszonego noża. Po chwili poczuł ohydny smród, który niemal sprowokował go do wymiotów. Przyszedł czas na działanie.

– Panie Ciemności! Ty, który kryjesz się w mroku ludzkich serc i żywisz się pustką ludzkiego zła! Przyjdź! Przyjdź! – Pokój rozjaśnił się, ujawniając małą dziewczynkę stojącą naprzeciw Johana. Miała śliczną sukienkę o kolorze morza, włosy splecione w dwa warkocze. Uśmiechała się do niego z rączkami schowanymi za plecami. Jej zielona oczka były pełne dziecinnej niewinności połączonej z figlarnością odpowiadającą jej wiekowi. Uśmiech nie zniknął z twarzy dziewczynki nawet wtedy, gdy jej ścięta ostrzem szabli główka odbiła się od posadzki. Ciało dalej stało z rączkami złożonymi z tyłu. Johan usłyszał dziecięcy śmiech i mimowolnie spojrzał w stronę głowy. Dziewczynką śmiała się obłąkańczo, co chwilę pokazując mu język. To był pierwszy błąd Mistrza. Nie zdążył zareagować, gdy małe, bezgłowe ciało rzuciło nim o ścianę. Nabrał się na jedną z najprostszych sztuczek, a konsekwencje mogły być śmiertelne. Odbił się niczym worek ziemniaków i upadł na ziemię. Ciało, mimo swojego pokracznego chodu, błyskawicznie znalazło się przed nim. Straciło jednak element zaskoczenia. Rączki wyciągnięte w stronę jego gardła poszybowały na boki. Po chwili korpus leżał na ziemi, całkowicie rozczłonkowany. Całej scenie towarzyszył śmiech dziecka. Zamilkł dopiero, gdy ciężki but zmienił małą główkę w galaretowatą kałużę, jednak jasne warkocze nie straciły niczego ze swego uroku. Piękno zmieszało się z wulgarną brzydotą.

\*\*\*

Niezdarnie wyciągnął jedno z ziarenek, które nosił w małym woreczku. Rozgryzł je i po chwili poczuł gorzki smak. Coś chrupnęło mu w klatce piersiowej i ponownie mógł swobodnie oddychać. Skupił się na nowo i spojrzał w stronę garnków. Ich zawartość nie odstawała od normy. Zawierały ludzkie części ciała, głównie genitalia i wnętrzności. Ludzie zawsze pragnęli miłości i przyjemności z nią związanych. Byli gotowi zapłacić dużą cenę za podniecie i to właśnie ją oglądał teraz Johan.

– Nie wstyd ci? Biedne dziecko... Moja córeczka! – usłyszał szloch dobiegający z kąta. Mógłby uwolnić tę kobietę od wiecznego cierpienia, od niekończących się wyrzutów sumienia. Od razu rozpoznał w niej niewolnicę wiedźmy, beznadzieja wyżłobiła w jej ciele trwałe ślady. Zabite przez niego dziecko było pewnie ofiarą złożoną za jakąś przysługę, być

może nawet za życie samego dziecka. Nie obchodziło go to. Niewolnica nie miała żadnych mocy, a po śmierci córki była zupełnie bezużyteczna. Wzgardził nią w taki sam sposób, w jaki zrobiłaby to jej była pani. Obrócił się i ruszył powoli w stronę bujanego fotela.

Zatrzymał się na chwilę. Czuł, jak deski pod nim wybrzuszają się, a następnie wracają na miejsce. Podłoga zachowywała się tak, jakby pod deskami pełzał jakiś olbrzymi robak czy też wąż. Johan nie mógł wykluczyć realności tego stworzenia. W domu wiedźmy nie było niczego pewnego. Wszystko mogło, ale nie musiało istnieć. Rzeczy mogły pojawiać się i znikać, całe pokoje mogły zmieniać swoje miejsce. Domek był bramą, miejscem połączenia kompletnego chaosu z prostą rzeczywistością ludzką.

\*\*\*

Mieszkanie wiedźmy było wynikiem pokracznego łączenia dwóch różnych rzeczywistości. Takim samym tworem był Łowca Czarownic. Czuł się, jakby wrócił do domu. Każdy dziwaczny zakamarek i anomalia wydawały się mu czymś zupełnie normalnym. Kolejny krok. Bujane krzesło zaczęło się poruszać, jakby ktoś siedział na nim, rozkoszując się relaksem. Po chwili dojrzał kota i natychmiast wykonał Stary Znak, odskoczył do tyłu i czekał z niecierpliwością. Zwierzę wyciągnęło się powoli i zamiauczało, jego zielone ślepia wlepiły się w mężczyznę. Czuł, jak pot spływa po jego plecach i niemal paruje natychmiastowo na pięcioramiennej bliźnie. Koty były strasznymi stworzeniami, czymś niemal tak wstrętnym jak samo piekło. W zwyczajnych miejscach nie stanowiły zagrożenia, ale w chacie wiedźmy były śmiertelnym niebezpieczeństwem. Johan wciąż nie wiedział, z kim ma do czynienia, ale nie chciał się dowiadywać. Wiedza bywała zgubna, a kolejne demoniczne imię już na zawsze wypalało piętno na duszy człowieka. Kot najwyraźniej zauważył jego gotowość i niechęć, skulił się więc w kłębek i oddał drzemce. W tym czasie Mistrz wykonał kilka kroków w tył. Pod jego stopami odezwało się drewno. Znajdował się nad zapadnią, która musiała prowadzić w podziemia.

– Kurwa! – syknął przez zęby. Nie chciał tego, całym sercem brzydził się schodzeniem niżej. Nie mógł jednak zrobić niczego innego. Jego przeciwnik czekał i najwyraźniej dobrze się bawił. Być może dlatego czarna bestia na bujanym krześle postanowiła go zostawić. Miał stać się łakomym kąskiem dla kogoś o wiele potężniejszego i bardziej obrzydliwego zarazem.

\*\*\*

Samo piekło chciało go polizać. Kłapa otworzyła się i wypadła z niej masa ciała, która wystrzeliła w kierunku Łowcy. Wszystko działo się błyskawicznie, ale nie zaskoczyło go ani na chwilę. Zszedł z linii ataku, wystrzelując pocisk z uprzednio przygotowanego pistoletu. Bronił się także swoją szablą, chociaż wydawało się to całkiem bezowocne wobec masy mięsa atakującego go bez pardonu. Być może szczęście się do niego uśmiechnęło, mógł też sprzyjać mu jeden z demonów, ponieważ nagle kreatura wycofała się z piskiem. Dźwięk przypominał skomlenie psa, ale był o wiele donioślejszy i jakby wyrwany z głębi oceanu. Mężczyzna stał i przez chwilę patrzył na przejście. Musiał zejść na dół, ale wcale nie chciał rzucać się w objęcia ciemności. Wziął głęboki oddech i ruszył, ostatecznie po to tu przybył. Pozostał mu jeszcze jeden wystrzał z drugiego pistoletu, potem mógł polegać tylko na swojej szabli.

Gdy długo obcuje się z nadnaturalnym i styka się ze złem zamieszkującym świat, wszystko wokół przestaje szokować. Zdeformowane ciała, jęki, poruszające się cienie czy dziwaczne istoty, one wszystkie tworzyły pokraczny pejzaż. W takich miejscach lęk nie musiał się personifikować, on po prostu był tutaj obecny. Johan dalej cierpiał, wchodząc w takie miejsca. Jego umysł atakowany był bezsensem życia, smutkiem jego straconego dzieciństwa i niesprawiedliwością świata. Najgłośniejsze wołanie zawsze brzmiało tak samo: „Gdzie jest ten dobry Bóg? Gdzie On jest? Jak może na to pozwalać? My cierpimy!”. Chociaż wielokrotnie pragnął zagłuszyć te jęki, nie potrafił zmusić się do ignorowania tych pytań.

Kolejny korytarz, a w nim cierpiący ludzie, na wpół obłąkani i całkowicie pozbawieni godności. Czym różnił się od nich? Zupełnie niczym, poza kawałkiem metalu w ręce i układami z tymi, którzy wybrali sobie tych ludzi na zabawki do torturowania. Czasem widział wyrzut w ich oczach, gdyż oni wiedzieli o jego skalaniu. Nie było jednak czasu na rozpatrywanie moralności.

Johan wyciągnął krzyż i zakrzywiony nóż. Rozejrzał się dokładnie wokół, a następnie przysiadł. Znajdował się w jednej z sal, pozornie całkowicie pustej. Obecność innych była wyczuwalna, także smród przypominał o tym, że czają się gdzieś w pobliżu. Po raz kolejny musiał przejść przez rytuał. Znajdował się w piekle, ale nie był jego częścią, aby to zmienić, musiał skazać się na potępienie. Jedynie w prawdziwym wymiarze więdmy mógł się jej pozbyć.

– Przeklinam cię, oszuście ludzkości! Zwodzicielu bezmyślnych cielaków! – Połamał krzyż, naciął sobie dłoń i pozwolił, aby kilka kropli spadło na święty znak. – Wszyscy jesteście nędzni i nigdy nie poznacie prawdy! – Wyciągnął dwa kolejne symbole, które w tej krainie oznaczały dobre bóstwa. – Zginę wolny, bez waszego brzemienia! Nie będziecie mną władać! Wyzwolił mnie Wielki Ojciec, Zbuntowany Syn i Pierwszy Wśród Wyzwolonych! – Powoli zaczynał zamykać symbole religijne w okręgu. – Nie ma wolności! Nie ma dobra! Jest tylko smutek! Smutek i chaos! – Swoją krwią kreślił pentagram. Sala zaczęła się nim interesować. Ściany przybliżały się coraz bardziej. Czuł czyjeś ręce na swoich barkach, ktoś zachęcał go, aby nie przerywał. Czuł wsparcie obecnego wokół zła. Obrzydliwe twory przyglądały się, jakby pierwszy raz widziały dziejące się tutaj plugastwa. Były nim zafascynowane, ponieważ umożliwiał przejście z jednego wymiaru w drugi. Same oddałyby wszystko, aby wydostać się ze sfery potępionych. Nie potrafiły zrozumieć, że ktoś chce zejść do nich i cierpieć to, co one muszą cierpieć. Tylko ludzie mogli być na tyle szaleni.

– Oddaje Ci moje życie! Panie Piekieł i Władco Wolnego Świata! Przyjmij mój dar, chociaż nie potrzebujesz go wcale! Ty pierwszy sprzeciwiłeś się Tyranowi i wybrałeś wolność! Uraż także mnie smakiem wyzwolenia! – Dźwignął nóż przed siebie, coraz szybciej nabierał powietrza. Samobójstwo. Kolejny raz śmierć z własnej ręki i przeklinanie Stwórcy. Czy faktycznie musiał to robić, aby pokonać zło? A może to sam Diabeł wymyślił to wszystko, aby jeszcze bardziej upokorzyć ludzkość? Nie był w stanie odpowiedzieć.

Bolało tak jak zawsze. Prawdziwy smutek rozdarł jego duszę kolejny raz. Pragnął, aby był to już ostatni raz.

\*\*\*

– Witaj Johanie! Dawno nas nie odwiedzałeś! Nieładnie tak zapominać o przyjaciółach. – Głos, który go zbudził, mroził krew w żyłach. Nie było w nim nic ludzkiego poza czystą złośliwością i drwiną. Tożsamość mówiącego nie mogła zakryć się pod żadną maską, nie tutaj i nie teraz. – Być może powinieneś wykupić sobie jakąś taryfę? Czeka... Znacie już to słowo? Taryfa?

Gdy Mistrz otworzył oczy, zobaczył młodego mężczyznę siedzącego na pięknie zdobionym fotelu. Miał na sobie bardzo bogate szaty, a w rękę trzymał kieliszek z winem. Był uosobieniem taktu, piękna i godności. Johan był całkowitym tego przeciwieństwem. Leżał na ziemi we własnym moczu i odchodach, prawdopodobnie miał połamane nogi, a z ust

ciekła mu piana. Sytuacja nie wyglądała dobrze i tworzyła swojego rodzaju groteskę. Zło przydziało się w piękno, a dobro tarzało się w brudzie.

– Będziesz mi oddawał swoją duszę, a potem uciekał? To tak jakby... – Na chwilę blondyn zamyślił się, poszukując odpowiedniego słowa. – Jakby panna młoda uciekła zaraz przed skonsumowaniem związku, prosto z łóżka. Wyobrażasz sobie? – Johan nie potrafił sobie wyobrazić niczego, co nie było ciepłą kąpielą i miękkim łóżkiem. – Wchodzisz do sypialni, czujesz alkohol i radość płynące w twoich żyłach, a potem widzisz ją! Oddałeś jej życie, a ona oddała się tobie! Ślubowała ci wieczną wierność!

Mężczyzna wstał i powoli zaczął zbliżać się do leżącego Mistrza. Pantofle mężczyzny przypominały baletki, a noszące je stopy miały jeszcze więcej gracji niż całokształt fizjonomii mężczyzny.

– Tak sobie to wykombinowałeś, co? – Złote oczy wpatrywały się w niego z troską. – Będę zawsze ci pomagał, a ty będziesz zabijał te wstrętne wiedźmy! Może wina? – Mistrz oddałby życie za coś do picia. – Nie? Przykro mi, że gardzisz moją gościnnością. – Zabrzmiało, jakby faktycznie był zasmucony.

Obrócił się na pięcie i wrócił na swoje miejsce. Oblicze panicza zmieniło się, z jego twarzy znikła jakakolwiek przychylność.

– Tak nie będzie! – wrzasnął, opluł się, a następnie rzucił kieliszkiem w Łowcę, który nie miał sił na jakikolwiek ruch i zwyczajnie dostał w twarz. Szkło lekko skaleczyło jego twarz, ale za to zapach wina był o wiele przyjemniejszy niż smród ropy. – Dzisiaj będziesz mój, słyszysz? Dzisiaj cię posiadę! Będziesz moją nałożnicą, moją dziwką! Tak, jak obiecałeś! Zedrzesz gardło, krzycząc, jak wspaniały ból ci zadaję! Lepiej żebyś miał ciasną dupę! Zabrać go!

Jakieś niewidzialne ręce podniosły go z ziemi. Próbował zaprotestować, chciał błagać czy choćby szlochać. Jedyne, do czego był zdolny, to parę podrygów i jęków. Nie chciał myśleć o bezkresie ponizeń, który zarysowywał się na jego linii życia. Wiecznego życia.

– Już, już! Zostaw trochę siły na noc! – Mrugnął do niego i ponaglił gestem swoich służących. Po chwili do sali wprowadzono kobietę. Ona także była w złym stanie, ciężko było myśleć o okropieństwach, które musiały stać się jej udziałem. – Przed chwilą wyprowadzili twojego chłoptasia. Myślisz, że to tak ładnie? Oboje ślubujecie mi wierność, a potem ganiacie się jedno za drugim? Liczyłem na słodki trójkącik, a jedyne, co otrzymałem, to żalospny układ dwóch masochistów... – Wiedźma nie odpowiedziała, uniemożliwiając jej to brak języka. – Zawsze uważałem to za śmieszne, wiesz? – Nowy kieliszek pojawił się w dłoni mężczyzny. –

Żeby diabeł musiał dbać o sprawiedliwość! W jakim my świecie żyjemy? Przysięgam, że nie tak to miało być! A będzie jeszcze gorzej! Dasz wiarę?

Zaśmiał się lekko, uznał swój żarcik za wyborny. Wiedźma dałaby wiarę wszystkiemu, uczyniłaby cokolwiek dla wolności. Jednak wolności nie było. Nie było jej nigdy. Obie strony konfliktu były tylko pionkami w ręku silniejszych od siebie. Całość była zbyt przykra, aby szukać w niej znaczenia. Jednak rachunek musiał się zgadzać. Rachunek zawsze się zgadzał.



# KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY  
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)





# KARMIENI LĘKIEM

Jacek Nowak

Księżyc w pełni zaglądnął nieśmiało do pokoju przez pozbawione firan i zasłon okno, jakby pragnął swoim światłem wlać w ich młode serca szczyptę nadziei, deptanej każdego dnia czynem, dźwiękiem i słowem. Rozjaśnił ascetyczne wnętrze. Stare biurko, a na nim parę zeszytów i szklanka do połowy wypełniona herbatą. Dwa krzesła, na których oparciach, niczym zwłoki, zalegały zmechaczone dresy i rozciągnięte swetry w żałobnych kolorach. Wielka peerelowska szafa z zepsutymi drzwiami. Dwa pojedyncze łóżka, skrzypiące przy każdym, najdrobniejszym nawet ruchu. Ukryte sprężyny starały się wybić na zewnątrz. Dwa ciała, dwie dusze. Śpiące. Śniące. Uciekające przed jawą. Kurczowo trzymające się snu, będącego ostatnim bastionem, ostoją normalności. Azylem, bez którego nie dałoby się żyć.

Księżyc rzucił światło na niewinne twarze. Dziewczynka miała dziesięć, może jedenaście lat, przetłuszczone włosy, układające się falami na cuchnącej pościeli, i pokaźny, trudny do udźwignięcia багаż wspomnień przesiąkniętych bólem i strachem, zaskakująco wyraźnie wyrysowany na jej obliczu. Chłopiec był młodszy, rozczochrany, przez jego policzek przechodziła blizna niewiadomego pochodzenia, a zamknięte powieki straszyły purpurą. Małymi dłońmi, zakończonymi krótkimi, pulchnymi paluszkami, obejmował poduszkę, tuląc się do niej jak do matki. Oddychał głęboko, rytmicznie, a w pewnym momencie jego usta poruszyły się nieznacznie i ułożyły w uśmiech. Niech to, o czym śnili tej nocy, pozostanie ich tajemnicą.

Kiedy wiszący na ścianie w przedpokoju wysłużony zegar wahadłowy z rzymskimi literami na tarczy wybił godzinę dwunastą, nikt nie przypuszczał, że oto dobiegła końca ostatnia rutynowa doba w tym domu. Dziewczynka otworzyła oczy, przetarła je, przeciągnęła się i syknęła z bólu. Ręka nadal nie pozwalała o sobie zapomnieć. Odwróciła się na drugi bok, lecz zanim zasnęła, zegar wybił pierwszą.

\*\*\*

Mężczyzna z wielkim brzuchem i owłosioną klatką piersiową chrapał zawzięcie. Jajowata łysa głowa spoczywała na podziurawionym prześcieradle, które być może kiedyś było białe. Lewa ręka zakończona czarnymi paznokciami zwisała bezwładnie z krawędzi wersalki. Od czasu do czasu śpiący wzdrygał się, co zaburzało rytmikę chrapania.

Kobieta. Tak, to ona. Starannie opatulą swoją głowę poduszką, ale kanonada dźwięków wydobywających się z gardła mężczyzny przebijała się przez tę żalną skorupę i wtedy nie pozostawało już nic innego, jak tylko szturchać go łokciem. Wprawnymi ruchami skopała z siebie koldrę, która wylądowała w nogach łóżka i w przedziwny sposób ułożyła się niczym harmonijka.

– Chrapiesz, stary – burknęła, po czym kolejny raz wycelowała łokieć obleczony owisłą skórą w jego łopatkę. – Spać się nie da. Słyszysz, stary? Śmierdzisz wodą i potem.

Ale mężczyzna nie rejestrował słów kobiety. Słów wypowiedzianych niskim głosem. Niemal cedzonych. Gdyby ktoś przyglądał się tej scenie, odniósłby zapewne wrażenie, że każda sylaba sprawia jej ogromną trudność i powoduje pieczenie w przełyku. Jednak w pomieszczeniu nie było nikogo poza małżonkami, okupującymi każdy kąt pajakami z tymi swoimi karykaturalnie długimi odnóżami, lgnącymi do wilgoci rybikami i niemałą grupką pokrywanych w przeróżnych zakamarkach karaluchów.

Kiedy zegar wybił pierwszą, kobieta usiadła na łóżku i mętym wzrokiem spojrzała na tego, któremu kilkanaście lat wcześniej ślubowała miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Co z tego zostało? Chyba jedynie wierność, ale nie była już ona pochodną wielkiej miłości, a raczej faktu, że oboje przelali swe uczucia na coś zupełnie innego. I zrobili to na zgubę własną i dzieci. Z odrazą wpatrywała się w brzuchacza, który, nawet śpiąc, wzbudzał w niej irytację i pogardę. Nienawidziła i jego, i siebie. Była tego pewna teraz, w środku nocy, kiedy nawet zamroczony umysł w niespodziewanie wyraźny sposób potrafił odtworzyć duchy dalszej i bliższej przeszłości. Rozświetlona księżycowym światłem brzydka, nalana twarz, której wątpliwą ozdobą była ogromna krosta na płaskim nosie, stanowiła przykry, widoczny gołym okiem dowód sponiewierania i upadku. Kwadrans po pierwszej kobieta zasnęła ponownie, nie mając pojęcia, że dotychczasowy porządek legnie w gruzach, nim nadejdzie wieczór.

\*\*\*

By mieć za co pić, pozbyli się prawie wszystkiego. Najpierw sprzedali sąsiadom małego fiata. Później przyszła kolej na niektóre meble, pralkę, a nawet skromną kwatere na cmentarzu komunalnym. Jak dotąd nie pozwolił tknąć jedynie tego zegara wiszącego na ścianie w przedpokoju, stanowiącego pamiątkę po przedwcześnie zmarłej matce. Jego żona nie miała jednak wątpliwości, że i na zegar przyjdzie wkrótce czas. Przypuszczała również, że tylko matkę kochał prawdziwie, i tylko za jej życia starał się zachować umiar. Wraz z jej śmiercią do reszty zepsuły się hamulce.

By mieć za co pić, pracował w tartaku. Dorywczo, bez umowy. Zdarzały się okresy, że częściej nie było go w pracy, niż był. Podobno szef też nie wylewał za kołnierza i szybko stali się kompanami od kieliszka.

A później wciągnął ją. Kobieta, która powinna reagować szybko; gdyby zaszła konieczność, tłuc po głębie na opamiętanie i szukać pomocy tam, gdzie można było na nią liczyć. Bo sam z pomocą nikt by nie przyszedł. To była wiocha zabita dechami i nikt nie interesował się losem garstki mieszkańców, którzy, z sobie tylko wiadomych powodów, nie wyjechali stąd w poszukiwaniu lepszego życia.

\*\*\*

Tamtego poranka chłopiec wstał pierwszy. Wszedł do obskurnej łazienki.. W pomieszczeniu unosił się smród moczu zmieszanego z kałem, powodujący odruch wymiotny.

Spluczka nie działała od kilku dni. Wysikał się i przepłukał ręce w zimnej wodzie, która leniwie płynęła z kranu do umywalki czarnej od brudu. Mydło. Kiedy w tym domu ostatni raz było mydło? Chłopiec stanął na palcach i przyjrzał się swojej twarzy w owalnym lustrze. Moką dłonią usiłował doprowadzić do ładu rozmięzwione włosy i zastanawiał się, czy tak jest wszędzie. Czy tak być musi. Czy od najmłodszych lat życia trzeba zaznawać lęku, bólu i poniżenia. Czy nadzieja

*(deptana każdego dnia czynem, dźwiękiem i słowem)*

to tylko puste słowo, gdzieś tam zasłyszane, ale pozbawione sensu i naszpikowane abstrakcją. Czy bijąca po oczach bieda wpisana jest w ludzką egzystencję. Czy matczyna, ale i ojcowska miłość to zwykle slogany, piękne w brzmieniu, ale zarazem w tym pięknie okrutne, bo jakże rozmijające się z rzeczywistością.

Nie miał punktu odniesienia. Paru kolegów też czasem skarżyło się na sytuację w domu, ale nikt nie mówił za wiele. Czasem nie trzeba mówić, bo najgłośniejszy krzyczy cisza. Błażliwym wołaniem o pomoc mogą być podbite oko, sińce na ramionach i udach, zaczerwienione oczy i drobne kanaliki drażnione łzami uparcie przebijającymi się przez widoczną warstewkę brudu na wiecznie niedomytych twarzy. Albo blizna na policzku. Ona także może być krzykiem wzbijającym się w nicość. Krzykiem dla krzyku, sztuką dla sztuki. Bo tego wołania nikt nie usłyszy. Nikt nie dostrzeże znaków. Nie ma nadziei

*(deptanej)*

na lepsze jutro.

– Wyłaż, gówniarzu – Padło z korytarza.

*(słowem)*

Ojciec. Chłopiec poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Znał to doskonale, znał od momentu, kiedy jego młodzieńki umysł nabył umiejętności zapamiętywania słów i zdarzeń. Znał to od dawna, ale ciągle tak samo się bał. Bał się tego, który powinien rozpraszać wszelkie lęki. Gestem, mową, uśmiechem. Który powinien wziąć go na kolana, opowiedzieć bajkę na dobranoc i utulić do snu. Jednak chłopiec nie znał takiego świata. Kolejna abstrakcja.

Nie czekając, aż chłopiec opuści łazienkę, mężczyzna wszedł do pomieszczenia. Zmierzył syna groźnym wzrokiem. Ojcowska miłość... Przekrwione gałki oczne, kilkudniowy siwy zarost, obwisłe piersi, wywalony brzuch, jasne spodnie od pizamy, poźółkłe w kroku i zsuwające się z pasa do tego stopnia, że odsłaniały kępkę długich włosów łonowych. Wokół mężczyzny roznosił się odór wódki i papierosowego dymu, którego nie był w stanie zniwelować nawet smród fekaliów. Tak dziecko miało zapamiętać ojca.

– Wynos się stąd, gówniarzu! – ryknął i chwyciwszy kilkulatka za ramię, szarpnął nim mocno.

*(czynem)*

Chłopiec wpadł na framugę, jęknął i obolały wyszedł na korytarz. Gdy szedł do pokoju, usłyszał wołanie ojca, który właśnie oblewał moczem deskę klozetową.

– Idę zapieprzać, żebyś miał co zjeść! Rozumiesz? Żebyś miał co zjeść. Trochę szacunku dla ojca! Trochę, kurwa, szacunku!

*(słowem)*

Ale słowa stopniowo nikły, dziecko ze wszystkich sił starało się nie koncentrować na nich uwagi. Wszło do łóżka, pomasowało ćmiące ramię i nakryło poduszką głowę. Z oddali dobiegały jeszcze jakieś stłumione głosy, ale chłopiec już ich nie słyszał, bo nie chciał słyszeć. Wspominał sen. Poduszkę zdjął dopiero wtedy, gdy zrobiło mu się duszno. Ojca nie było już w domu.

\*\*\*

Prawie cały dzień spędzili przed domem. Matka wstała około trzynastej, oznajmiła, że żadnego posiłku dziś nie będzie, bo źle się czuje. Nazwała dzieci nierobami, zjadła żalostną imitację obiadu w postaci czerstwego chleba z margaryną, po czym wróciła do swego pokoju i nie opuszczała go do powrotu męża z pracy.

Pogoda była piękna. Bezchmurne niebo, delikatny wietrzyk omiatający dziecięce twarze i zapobiegający męczącej duchocie. Słońce chętnie dzielące się promieniami. Świecące nad zagajnikiem, leniwym potokiem, rozsianymi w sporych odległościach pojedynczymi zabudowaniami. Ukazujące biedę z całą mocą. Tego dnia nie opadła kotara w postaci chmur czy deszczu, mogąca idealnie współgrać z walącym się domem i nie potęgować kontrastu między pięknem wczesnoletniej przyrody a zaniedbanym, odstraszającym wytworem ludzkich rąk.

Dziewczynka i chłopiec rozmawiali, nasłuchiwali odgłosów z sąsiednich domów, monitorowali senną okolicę. Biegali między młodymi drzewami, wzdłuż potoku, po udeptanej drodze. Upajali się chwilą. To było ich szczęście. Tych kilka godzin bez ojca i matki. I chociaż doskwierał im głód i żołądki z coraz większą stanowczością domagały się ciepłego posiłku, chociaż brakowało podstawowych produktów, mogących zapewnić elementarną pielęgnację ciała, czuli się szczęśliwi.

Było tak spokojnie, wręcz sennie.

Była cisza przed burzą.

\*\*\*

Wrócił późnym popołudniem, gdy byli już w domu. Wiedzieli, że ledwo trzyma się na nogach. Że śmierdzi potem, papierosami i wódką. Standard, żadnego odstępstwa od normy.

Trzasnął drzwiami wejściowymi

*(dźwiękiem)*

i sunął przez przedpokój jak zjawa. Stracił równowagę i całym ciężarem ciała runął na ścianę. Butelki w reklamówce stuknęły o siebie.

*(dźwiękiem)*

Butelka o butelkę. Szkło o szkło. Wasze zdrowie, dzieciaki. Tatuś wrócił z pracy.

– Uważaj, pacanie, rozbijesz!

Matka. Wyszła z pokoju. Nie musieli na nią patrzeć, by wiedzieć, że wygląda identycznie, jak przed południem. Stęskniona żona. Nie za mężem. Dwie istoty, dawcy życia. Kreatorzy niewinnego cierpienia. Stwórcy lęku i bólu. Pograżeni we własnym, zamroczonym świecie, z którego nie chcieli uciec, nawet dla własnych dzieci. Dzieci, dla których widok upadku był codziennością. Stłamszonych bezsilnością, bezbronnością, niemocą. Słabych, zniszczonych, pozbawionych nadziei,

*(deptanej każdego dnia czynem, dźwiękiem i słowem)*

bez której egzystencja może stracić sens.

Kłótnie, wyzwiska, poczucie wiecznego zagrożenia. Coraz śmielsza przemoc fizyczna, bo ta psychiczna dawno temu osiągnęła apogeum. Najpierw przestawianie z kąta w kąt, klapsy, szturchanie. Potem szarpanie za odzież, za włosy. I wreszcie tłuczenie, może nie z całych sił, bo tego żadne z dzieci pewnie by nie przeżyło, ale na tyle mocne, by zadać długotrwały ból. By pamiętały, kto rządzi i komu nie należy wchodzić w drogę.

\*\*\*

Siedzieli na łóżkach z podkurczonymi nogami i wzrokiem wbitym w kolana. Czekali cierpliwie, aż umilkną odgłosy za ścianą. Kolejny domowy rytuał. Tego wieczora wypadki potoczyły się jednak niestandardowo. Ale, biorąc pod uwagę finał, można było odnieść wrażenie, że dziewczynka przygotowana była by reagować w razie odstępstwa od normy.

Zapadł już zmierzch, gdy zalany w sztok mężczyzna wślizgnął się do pokoju dzieci. Wyglądał żałośnie, jeszcze gorzej niż rano, kiedy wyrzucał syna z łazienki. Ledwo trzymał się na nogach. To normalne. Ale dziewczynka szybko dostrzegła coś, co zwiastowało gigan-

tyczne kłopoty. Pijak miał z sobą skórzany pas, na którym kurczowo zaciskał palce lewej dłoni. Chłopiec również od razu zauważył, z czym odwiedził ich ojciec i serce podeszło mu do gardła.

– Wi-widzisz, synu – wymamrotał ojciec . – Musisz dostać lanie. Ra-rano okaza-  
okazałeś mi nieposł-nieposł... ra-rano byłeś niegrzeczny. Wkur...

– Tknij go tylko, a cię zabiję! – Mocny, sugestywny głos dziewczynki wypełnił pomieszczenie. Brzmiał jak głos pewnej siebie dorosłej osoby, która nie zwykła okazywać przed światem swoich lęków. Czy to skrywane głęboko pokłady mocy wyrwały się wreszcie z kajdan przerażenia? Czy po prostu pękło coś w tym młodym sercu i kazało dziecku działać, bez względu na konsekwencje...?

Na ohydnej twarzy pijaka pojawił się grymas konsternacji. Spojrzał na córkę i jeszcze mocniej ścisnął pas. Srebrna klamra błysnęła w słabym świetle jarzeniówki.

– Coś ty, coś ty powiedziała, ma-mała gnido?

– Powiedziałam, że jeśli tylko dotkniesz mojego brata, to cię zabiję! Rozumiesz? – To rzekłszy, sięgnęła pod poduszkę i wyciągnęła jakiś przedmiot. Ukryła go za plecami. Zwinnym ruchem zeskoczyła z łóżka. Stała naprzeciw ojca, dzieliło ich nieco więcej niż metr odległości. Chłopiec nie zmienił pozycji. Dygotał na całym ciele i czekał na rozwój wydarzeń.

– Ty suko... – szepnął ojciec i wykonał krok w stronę dziewczynki. Uderzyła ją fala stęchlizny. Wyjęła rękę zza pleców. Drobnymi palcami ścisnęła rękojeść kuchennego noża. Ostrze połyskiwało złowroźnie.

– Jeden krok, uprzedzam. – Jej głos się nie łamał, nie tracił nic ze swojej mocy, ale po policzkach spływały łzy. – Jeden mały krok, draniu.

– Na ojca? – wrzasnął mężczyzna, ale lekko się zawahał i pozostał w miejscu.

– Jaki z ciebie ojciec? Żaden! Jesteś wstrętnym potworem, oboje jesteście potworami! Nienawidzę was! Słyszysz? Nienawidzę!

Pijak wziął zamach, ale zrobił to tak nieudolnie, że stracił równowagę i runął na podłogę tuż obok krzesła, na którym piętrzył się stos przechodzonych ubrań.

– Ty mała suko – wysyczał i spróbował się podnieść.

– Uciekamy, młody! Szybko! – wydała polecenie dziewczyna.

– Dokąd? – zapytał niepewnie chłopiec, ale w tym samym momencie wstał z łóżka.

– Uciekamy. To nie jest nasz dom. Nigdy nim nie był i nigdy nie będzie. Nie pozwolę dłużej ciebie... nas krzywdzić. Nie pozwolę.

Oszołomiony kilkulatek rzucił się do drzwi, ale gdy znajdował się blisko nich, leżący ojciec chwycił go za kostkę. Dziecko bezskutecznie próbowało wyrwać się z pułapki. Dziew-



czynka raz jeszcze wykazała się przytomnością umysłu. Przykucnęła przy mężczyźnie i przy-  
stawiła mu nóż do gardła.

– Puść go. Jeden ruch i bez skrępowań wbiję ci...

– Szmato... – wycedził i puścił chłopca wolno.

Dziewczynka wstała i pobiegła za bratem. Na chwilę tylko zatrzymali się w drzwiach  
pokoju rodziców. Matka spała na podłodze, z policzkiem skąpanym we własnych wymiocini-  
nach. Dzieci spojrzały na siebie, potem na matkę i jeszcze raz na siebie.

– Chodźmy stąd – szepnęła. – Nic nas tu nie trzyma, to nie jest nasz świat.

Chłopiec przytaknął i zapytał:

– Co z nami będzie?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, by mogło być gorzej.

Wyszli z domu. Chwycili się za ręce i ruszyli przed siebie, nie znając celu rozpoczętej  
wędrowki i nie wiedząc, co czeka ich po drodze. Znamienne, że jedyne, czego miało im bra-  
kować, to widoku szybko rosnących drzew niedaleko domu oraz szumu leniwie płynącego  
potoku, od którego tafli odbijały się za dnia promienie słońca. O wszystkim innym chcieli  
zapomnieć i każdym krokiem usiłowali wymazywać z pamięci koszmar, który nie wiedzieć  
dlaczego przeżywali przez lata. Gdy opuścili wioskę, wzmógł się wiatr i buchnął w ich serca  
powiew nadziei.



rys. Małgorzata Silkowska

# POST MORTEM

Katarzyna Chroma

*Mężczyzna musi być zadowolony; lecz zadowolić go  
Sprawia przyjemność kobiecie; w przepaść  
Jego współ odczuwanych potrzeb  
Rzuca ona to co ma najlepszego; ciska samą siebie*  
(Patmore, „Anioł domowego ogniska”, 1866: 48)

Jakub otworzył przeglądarkę i wstukiwał różne hasła dotyczące epoki wiktoriańskiej. Właśnie pisał pracę na jej temat i koniecznie musiał podzielić się z Anną kolejnym faktem, który odkrył kilka minut temu. Annie nie było to specjalnie na rękę, bo musiała dokończyć raport, który miał być gotowy na jutro. Jakub zapewnił, że to potrwa „tylko chwilę”.

Ukazała jej się strona ze zdjęciami, które najwyraźniej były jednymi z pierwszych w historii fotografii: niewyraźne i poźółkłe, niektóre szare. Nie rozumiała, czemu większość modeli na tych zdjęciach śpi i czemu współlokator jej to w ogóle pokazuje. Jednak ponieważ bardzo go lubiła i zawsze mogła na nim polegać, postanowiła udawać zainteresowanie zdjęciami.

– Ale oni słodko śpią. Musi śnić im się coś miłego, mają taką ulgę wypisaną na twarzach– powiedziała, wpatrując się uważnie kolejno w każdą osobę.

– Może dlatego, że już nigdy nie będą musieli się męczyć.– Jakub uśmiechnął się z przekąsem.

Spojrzała najpierw na niego, a potem z powrotem na fotografii. Postaci wciąż leżały bez ruchu, z zamkniętymi oczami i lekkim uśmiechem.

– Co ty pleciesz? Z czym niby nie będą się już męczyć?

– Oni nie żyją.

Wybałuszyła oczy tak mocno, że aż ją zaboląły. Wybrała jedną fotografię i powiększyła ją na ekranie do maksymalnego rozmiaru. Odsunęła się od wyświetlacza, by po chwili znów się przybliżyć, bacznie przyglądając się „śpiącym”.

Jakub podszedł bliżej i również wpatrywał się w ekran.

– Myślisz, że gdy robiono to zdjęcie, to już cuchnęli?

\*\*\*

Wiktoria nie mogła patrzeć na to, jak pan fotograf grzebie przy oczach jej ojca. Stała odwrócona do okna i udawała, że bawi się lalką. Lalka miała ochotę wyjść na spacer. Jak najdalej stąd.

W takim razie trzeba otworzyć okno. Zauważyła stelaż, który stał tuż obok i postanowiła z niego skorzystać. Położyła na nim nogę i spróbowała wgramolić się na parapet.

– Wiktoria! – Nagła reprimenda udaremniła plan otwarcia okna. Nie będzie spaceru.

Matka wzięła ją za rękę i zdecydowanym ruchem postawiła przy ojcu, który, prawdę mówiąc, nie pachniał już zbyt ładnie.

– Trzeba w końcu zrobić zdjęcie, a ty tylko utrudniasz – fuknęła na nią matka. – Jeszcze byś stelaż zepsuła. Myślisz, że nas na taki stać? Przecież Wiktor już nam nie pomoże.

Mała Wiktoria nie zauważyła łez matki i kurczowego uścisku, w jaki złapała martwą rękę ojca. Musiała znowu patrzeć, jak pan fotograf niezbyt umiejętnie próbuje otworzyć mu oczy. *Zaraz mu je wydłubie*, – pomyślała

Fotograf chyba usłyszał myśli małej Wiktorii, bo w tym samym momencie powiedział:

– Nie da rady. Trzeba malować.

Sięgnął po pędzelek i farby, po czym szybkim, wprawnym ruchem sprawił, że ojciec znowu „widział”. Wiktoria już nie była pewna, co jest gorsze.

– Jan! – krzyknął niespodziewanie fotograf, odkładając farby i pędzel. – Pomóż mi podnieść pana.

Jan był młodym, niewysokim, ale krzepkim pomocnikiem fotografa. Od razu widać było, że nie pracuje tu od wczoraj. Narzucił sobie jej ojca na plecy jak worek ziemniaków. W tym czasie pan fotograf postawił stelaż obok Wiktorii. Ten sam, który miał jej pomóc w wydostaniu się z tego okropnego miejsca.

Jan w kilka sekund ustawił jej ojca tak, że ten wyglądał jakby naprawdę stał o własnych siłach. Patrzył na nią. Nie. To tylko farby.

– Dziękuję, Janie – powiedział fotograf, po czym delikatnie odsunął pomocnika i zaczął poprawiać ubranie ojca. Gdy skończył, przyszła pora na małą Wiktorię. Wziął jej rękę i ułożył w dłoni ojca. Przeszył ją dreszcz. Fotograf to zauważył.

– Nie bój się, to tylko na chwilę – mruknął.

Podszedł do jej matki i poprosił, by podtrzymała głowę ojca, ale w taki sposób, jakby się przytulali. Całość ma wyglądać naturalnie. W końcu, gdy uznał, że wszystko jest jak należy, cofnął się do wielkiego, dziwnego sprzętu, który stał na trzech nogach i łypał na nią wielkim okiem.

– Teraz proszę się przez chwilę nie ruszać. Powiem, kiedy będzie można się rozluźnić.

Dla Wiktorii, która potrzebowała ciągłego ruchu i nie rozumiała, czemu musi przebywać w tym dziwnym miejscu, trzymając za rękę cuchnącego ojca, zdecydowanie to nie była chwilka. Tym bardziej że poczuła uporczywe swędzenie w lewej nodze. Z całych sił starała się powstrzymać przed podrapaniem się.

– Już? – zapytała nagle.

– Jeszcze nie – odpowiedział fotograf. – Nic nie mów jeszcze przez chwilę, złotko.

– Kiedy mnie noga swędzi.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Minęło kilka minut, a fotograf nadal tkwił pod groźnie wyglądającym płaszczem, przyczajony za dziwnym, wielkim okiem – nic się nie działo. Matka co chwilę tylko pociągała nosem. Wiktoria zastanawiała się, czy ją też bolą już ręce od utrzymywania ojca w tej „naturalnej” pozycji.

Nagle znów poczuła swędzenie w nodze, tym razem ze zdwojoną siłą. Nie wytrzymała – puściła rękę ojca i podrapała się.

Okazało się, że jej mała rączka była kluczowa do utrzymania pozycji, bo ojciec nagle runął do tyłu wraz ze stelażem. Takiego pisku wydobywającego się z gardła matki jeszcze nie słyszała.

Fotograf wyłonił się z dziwnego płaszcza i ciężko westchnął:

– Trzeba zacząć od początku.

Anna od kilku dni uczyła córkę, w jaki sposób prać zasłony. Współmieszkańców prawie nigdy nie było w siedzibie, ponieważ pracowali od rana do nocy w najbliższym zakładzie włókienniczym. Anna również tam pracowała, ale musiała też znaleźć czas na posprzątanie izby. Pył węglowy dostawał się do mieszkań z zewnątrz – z ulic Welwyn – i był istną zmorą mieszkańców. Osiadał dosłownie wszędzie: na oknach, zasłonach, naczyniach, wanienkach, ubraniach... Wszechobecny pył utrudniał oddychanie. Dlatego Anna nie miała wyboru i musiała wdrażać siedmioletnią córkę w typowe obowiązki kobiet.

– Najpierw nasyp soli do wody – radziła Wiktorii.– Bo inaczej nie zejdziesz. Dopiero potem faktycznie pierzesz.

Gdy córka prała zasłony, ona sama czyściła okna, przez które już prawie nic nie było widać. Potem musi jeszcze zlecić Wiktorii wypranie jedynych ubrań, jakie miały, bo te również były całe w pyłe. O umycie naczyń też musi poprosić i jeszcze drewno nieprzyniesione! A ona musi niedługo iść do zakładu na nocną zmianę...

Mała Wiktoria, posłusznie piorąc zasłony, zastanawiała się, kiedy będzie mogła się pobawić. Chciała w jakiś sposób uciec, zapomnieć na chwilę o tej brudnej siedzibie, którą dzieliła nie tylko z matką, lecz także z wiecznie umorusanymi węglem i pyłem chłopcami, którzy prawie nigdy się nie myli, bo i tak za chwilę musieli znowu wchodzić do kominów. Rodziców tych dzieci nigdy Wiktoria nie widziała, ale nie pytała o to chłopców, bo po prostu ich nie lubiła. Używali nieładnego języka i robili sobie z niej nieprzyzwoite żarty, toteż ciężko było się dziwić.

Od czasu zrobienia zdjęcia z tatą u fotografa prawie w ogóle nie rozmawiała z mamą. Nie tyle dlatego, że nie wiedziała o czym z nią rozmawiać, ile z braku czasu – było go coraz mniej i mniej. Mamę widywała rzadko, bo prawie zawsze była w pracy, a jak już przyszła do domu, to tylko po to, by ugotować jedzenie i posprzątać, ewentualnie coś zszyć. Mama z irytacją reagowała na propozycje Wiktorii, by się z nią pobawiła, i dziewczynka na przemian słyszała tylko: „Nie mam czasu” albo: „Jestem wykończona”.

Anna, czyszcząc okno, myślała o swoich zmartwieniach, które były znacznie poważniejsze niż te Wiktorii. Ostatnio w zakładzie usłyszała plotki, jakoby mieli wprowadzać najnowszy wynalazek: maszynę do szycia. Właściciele zakładu są podobno zachwyceni pomysłem zakupienia maszyn, bo mimo tego, że mogą wydawać się drogie, ich koszt ma zwrócić się w niewyobrażalnie szybkim tempie. Nie będzie trzeba płacić ludziom: po prostu nie będą już potrzebni. Była tak zestresowana myślą, że może zostać zwolniona i nie będzie w stanie utrzymać córki i siebie, że zapomniała już o śmierci Wiktora. Po prostu nie miała czasu o nim myśleć.

Nagle poczuła, jak łzy powoli zbierają się jej w gardle, i ze wszystkich sił spróbowała je zdusić. Nie mogła okazać słabości przy córce.

*Muszę być silna*, myślała, szorując okno tak zawzięcie, że aż zaczął łapać ją skurcz. *Muszę dać radę. Dla Wiktorii.*

–Wiktorio, pobaw się, proszę, na dworze – poprosiła córkę Anna, wchodząc do mieszkania. Wiktoria z radością przystała na prośbę matki, bo już od dawna nie bawiła się swoją jedyną lalką, a poza tym, bawiąc się na dworze, miała okazję poznać inne dzieci, które pomagały jej zapomnieć o obowiązkach domowych. Przytuliła mamę, pisnęła: „Dzięki, mamolo!” i wybiegła przez sień na ulicę.

Gdy tylko córka opuściła siedzibę, Anna rzuciła się na jedyny fotel w pomieszczeniu i wybuchła rzewnym płaczem. Akurat nikogo nie było w mieszkaniu, więc w ogóle się nie hamowała. A miała nad czym rozpaczać.

Po tym, jak w zakładzie włókienniczym dopuszczono do pracy maszyny, nastąpiła wielka fala zwolnień. Nie pomogło niszczenie maszyn przez przerażonych wizją głodu ludzi – sprowadzono po prostu nowe maszyny, a buntowników wychłostano. Fala zwolnień objęła też Annę, ale ta nie załamała się – po prostu skupiła się na szukaniu innej nowej pracy.

Była pewna, że znajdzie zatrudnienie w pralni, ale okazało się, że pracownik jest tam aż nadto. Gdy próbowała sprzedawać kwiaty na ulicy, inne sprzedawczynie wrywały jej

wszystko, co miała, i deptały. Pracy jako guwernantka też nie mogła podjąć, bo w tak małej mieścinie przecież nikogo na to nie stać. Myślała nawet o pracy w kopalni, ale najbliższa była oddalona o dziesięć mil – w takim wypadku musiałaby się przeprowadzić, a nie chciała tego robić Wiktorii, bo wiedziała, że prędzej czy później zagoniliby jej córkę do ciężkiej, nieludzkiej pracy.

Pomysły na pracę się skończyły. Anna właśnie sobie to uświadomiła i cała bezsilność, która wzbierała się w niej już od dłuższego czasu, musiała w końcu znaleźć ujście – to był właśnie ten moment.

Nagle przestała płakać – tak samo gwałtownie, jak zaczęła. Oderwała ręce od twarzy i wpatrywała się intensywnie w palenisko, tak jakby w nim zobaczyła jakąś podpowiedź. W rzeczywistości po prostu przyszedł jej do głowy nowy pomysł.

– Nie, nie mogę tego zrobić – powiedziała na głos. – Jestem matką, nie mogę...

Potoczyła nieprzytomnym wzrokiem po izbie, aż zatrzymała się na fonografie, który stał w kącie tuż przy części kuchennej. Fonograf był jedną z niewielu rzeczy, jakie pozostały jej z przeszłości. Była to pamiątka po matce i Anna przysięgła sobie, że nigdy go nie sprzeda, choćby nie wiadomo jaki głód jej doskwierał.

Podeszła do urządzenia wolnym krokiem i przejechała delikatnie ręką po tubie. Sprawdziła korbkę, czy jest nadal sprawna. Wszystko działało i nie było powodu, by sprzęt miał nie działać – jej świętej pamięci matka o nic innego tak nie dbała, jak o ten fonograf.

Świeże łzy popłynęły jej po policzkach.

– Wybacz mi, mamó – wyszeptała łamiącym się głosem, przytulając się do fonografu.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Bardzo nie podobała jej się decyzja, jaką podjęła, ale czuła, że nie ma wyjścia. *Moja córka nie umrze z głodu*, myślała, przewracając się z boku na bok. *Póki żyję, nie zazna głodu. To jest mój obowiązek, jako matki, by do tego nie dopuścić. Intencje mam czyste, Bóg mnie ulaskawi.*

Wpatrywała się w Wiktorię, która, zmęczona sprzątaniami i zabawą, zasnęła natychmiast. W końcu sen udzielił się również Annie i choć na kilka godzin mogła odetchnąć i uciec od strasznych myśli, które kłębiły jej się w głowie od momentu, w którym postanowiła nie cofać się przed niczym, by zapewnić byt swojej ukochanej córce.

Welwyn nie był dużą mieściną, ale działo się w nim niewiele mniej niż w większych brytyjskich miastach: tu także panował rozgardiasz, było mnóstwo żebraków na ulicach, kobiety na straganach przekrzykiwały się, by sprzedać towar, a temu wszystkiemu wtórował

turkot kół dylizansów lub wozów wypełnionych różnymi towarami. Uwagę Anny przykuli latarnicy, którzy, stojąc na wysokich drabinach, przygotowywali ulice Welwyn na zbliżający się zmrok. Poczekwała, aż odejdą do innej latarni, i dopiero wtedy podeszła do dopiero co zapalanej.

Nie cierpiała wychodzić z siedziby, robiła to tylko wtedy, gdy naprawdę musiała. Irytował ją hałas i przygnębiał widok nędzarzy – nie tylko dlatego, że byli brudni i chorzy, ale przede wszystkim dlatego, że przypominali jej o własnym, równie niewesołym położeniu. Wiecznie ubrudzone węglem dzieci z narzędziami kominiarskimi, które co chwilę wykradały towar z wozów albo straganów, też nie napawały nadzieją.

Dzisiaj jednak musiała wyjść z domu. Musiała jakoś zacząć to, co sobie kilka dni temu postanowiła. Ale nie wiedziała, jak to zrobić.

Poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się lekko i zobaczyła jegomościa w średnim wieku, z wyraźną nadwagą, ale za to ubranego jak milion dolarów. Zupełnie nie pasował do otoczenia, więc Anna pomyślała, że to niepowtarzalna okazja i że musi szybko działać.

Nie wiedziała jednak kompletnie, co powinna zrobić, tysiące myśli przelatowały jej przez głowę, zrobiło jej się gorąco ze stresu. Z ogromną niepewnością podniosła rąbek swojej sukni na tyle wysoko, by widać było szew rajstop.

Jegomość uśmiechnął się obrzydliwie i podszedł do Anny.

- – Ile? – zapytał.

Anna powoli opuściła rąbek sukni na ziemię, zastanawiając się nad odpowiedzią. Była pewna, że przemyślała wszystko, ale ustalenie ceny za taką usługę nie przyszło jej do głowy. Nie miała pojęcia, ile można zarobić w tym „fachu”.

– Zapłaci pan tyle, ile pan uważa – odpowiedziała w końcu.

Potencjalny klient uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Pierwszy raz? – zapytał kpiąco.

W tym momencie Anna zwątpiła w siebie. Pomyślała, że jednak nie da rady. Spuściła głowę w milczeniu, czerwieniąc się jak mak.

Jegomość westchnął.

– Gdzie? – zapytał.

– U mnie w domu – odpowiedziała szybko, zebrawszy odwagę. – Tylko jest jeden warunek.

– Jaki?

– Moja córka musi myśleć, że przychodzi pan na lekcje śpiewu. Mam fonograf w osobnym pomieszczeniu.



Klient nic przez chwilę nie odpowiadał. Anna przestraszyła się, że się rozmyśli. Gdyby tak się stało, nie zebrałaby się znowu, by spróbować.

– A dlaczego nie tutaj? – zapytał, wskazując głową na boczną uliczkę.

– Za duże ryzyko – powiedziała szybko Anna.

Pokiwał głową.

– Pani prowadzi – zdecydował i poprawił kapelusz.

Mała Wiktoria ledwo doniosła balię wypełnioną wodą do siedziby, tak jak kazała matka. Położyła balię na klepisku i sama też na nim usiadła, ciężko zapiąć. Nagle wstrzymała oddech, żeby się uważniej wsłuchać w dźwięk, jakiego nigdy jeszcze nie słyszała.

W dalszej części sieni było słychać muzykę. Wiedziona ciekawością, wstała i zaczęła podążać w stronę dźwięku.

Nie zdążyła blisko podejść, bo nagle otworzyły się drzwi jedyne prywatnego pomieszczenia siedziby i zobaczyła mamę z jakimś panem. Mama zrobiła identyczną minę, jak Wiktoria, gdy dostawała od niej reprimendę.

– Córeczko - zaczęła matka – nie pracuję już w zakładzie, więc muszę inaczej zarabiać. Teraz uczę śpiewu. – Bolało ją serce, gdy to mówiła. – To jest mój uczeń. – Wskazała na jegomościa, który uchylił kapelusza w stronę Wiktorii.

– Ale nikt przecież nie śpiewał – zauważyła Wiktoria.

Anna zmieszała się i czerwony rumieniec wystąpił jej na twarz.

– Bo dopiero zaczynamy – powiedział obcy pan. – Dziś twoja mama uczyła mnie podstaw. – Wyrażnie się spiesząc, zakładał płaszcz. – Do widzenia paniom. – Po tych słowach opuścił izbę.

Wiktoria wbiła wzrok w mamę. Nie wierzyła w ani jedno słowo.

Już do końca dnia nie rozmawiały ze sobą.

Gdy Wiktoria zasnęła, Anna wyszła przed siedzibę. Poczowała, że zbiera się jej na płacz, a nie chciała budzić pozostałych domowników. Ledwo przekroczyła próg, łzy zalały jej oczy tak intensywnie, że prawie nic nie widziała.

– Boże, przebac mi – łkała. Przypomniały jej się szczegóły dnia, który właśnie minął. Wstrząsnęły nią torsje i zwymiotowała na bruk wszystko, co tego dnia jadła. Polało się jeszcze więcej łez, bo wiedziała, że przez to będzie całą noc głodna, a i tak nie dojadła. Wróciła do izby i wyniosła balię z wodą do kąta sieni, jak najdalej od śpiących. Weszła do

niej i zaczęła z zawziętością szorować swoje ciało, niemal kompulsywnie. Syknęła, bo zapiekło ją mocno i na skórze pojawiła się krew.

*Nigdy tego nie zmyję*, pomyślała z rozpaczą. Pochyliła głowę tak, że stykała się z kolanami. Po chwili popłynęły po nich świeże łzy.

Było całkiem inaczej. Niby lepiej, bo teraz Wiktoria miała nie jedną, lecz kilka sukienek – i to wcale niebrzydkich. Nie pamiętała, kiedy ostatnio odczuwała głód; dodatkowo matka oznajmiła, że niedługo przeprowadzą się w lepsze miejsce i nie będą musiały już z nikim dzielić siedziby.

Ale z drugiej strony było gorzej. Wiktoria czuła, że stało się coś strasznego, ale nie wiedziała co. Od tamtego dnia, w którym zobaczyła mamę pierwszy raz w towarzystwie obcego pana, minęło już kilka tygodni, ale nie umiała tego widoku wymazać z pamięci. Zawsze, gdy zasypiała, miała przed oczami mamę z szeroko rozwartymi, przerażonymi oczami i twarzą oblaną rumieńcem. Potem jeszcze kilkakrotnie zdarzało się Wiktorii zobaczyć innych panów wychodzących z prywatnego pokoju, ale wtedy już matka się nie mieszała i nie było śladu po tamtym rumieńcu.

Dla Wiktorii matka była teraz inną osobą. Zaczęła się w końcu uśmiechać, na co Wiktoria długo czekała, ale zawsze jakiś dziwny cień przesłaniał te uśmiechy. Wiktoria nie umiała odebrać tego uśmiechu jako szczerego. Korciło ją, by zapytać mamę, co się dzieje. Ale intuicja jej podpowiadała, że chyba tak naprawdę nie chce tego wiedzieć, więc nie pytała. Tak samo w chwilach, gdy z pokoju prywatnego dochodziły do niej dźwięki zdecydowanie nieprzypominające muzyki z fonografu – stwierdziła ostatecznie, że nie będzie o nic pytać.

Ale pewnego dnia, gdy zauważyła, kolorowe plamy wokół oczu matki, nie wytrzymała. Takie same plamy pojawiały się u niej samej na nogach, gdy przewróciła się podczas zabawy na podwórku, i wiedziała, że mamie coś musiało się stać.

– Mamo, co ci się stało na oku? – zapytała, przyglądając się badawczo siniakom mamy.

– To nic. – Anna uśmiechnęła się sztucznie. – Przewróciłam się.

– Na oczy?

Wiktoria zauważyła, że matka składa ubrania niedokładnie i szybko, pojawił się też na jej twarzy dawno niewidziany rumieniec.

– Przewróciłam się na schodach i uderzyłam w poręcz – skłamała Anna. – Nie martw się, niedługo zejdzie.

Wiktoria czuła, że matka znów ją okłamuje, ale już o nic nie zapytała. Potem jeszcze wielokrotnie widziała te same plamy na twarzy matki. I nie tylko na twarzy. Kiedyś, wnosząc drewno do izby, przypadkiem zobaczyła matkę w bieliźnie, bo ta akurat zmieniała suknię. Zauważyła wtedy plamy na prawie całym ciele mamy, a najwięcej na nogach. Plamy miały chyba wszystkie kolory, jakie Wiktoria w życiu widziała. Ten widok ją zabolął i pomyślała, że musi pomóc mamie. Ale równie szybko zaniechała tego pomysłu. Wiedziała, że matka ją znowu okłamie, więc nie widziała sensu w pytaniu o cokolwiek. Toteż nie pytała, gdy zauważyła ropiejące wrzody wokół ust i dziwne, blad różowe krostki na ramionach matki. Z czasem mama miała też coraz mniej włosów – wypadały jej garściami. Raz Wiktoria zapytała, czy wszystko w porządku, a matka, bez żadnego skrępowania, odpowiedziała, że tak i że to przejściowe.

Dopiero, gdy gorączka przykuła mamę do łóżka, powiedziała do Wiktorii w końcu szczerze:

– Córeczko, nie jest ze mną dobrze. Poszukaj lekarza, moje drogie dziecko. – Ścisnęła mocno jej małą rączkę, a w jej oczach zabłyszczały łzy. Wiktoria kiwnęła gwałtownie głową i, chlapiąc, wybiegła natychmiast z sieni.

Lekarz, którego udało się znaleźć dzięki łzom i nawoływaniom Wiktorii, przebywał w prywatnym pokoju tak długo, aż zapadł zmierzch. W końcu wyszedł i skierował się do pomieszczenia na końcu siedziby, gdzie bawiła się córka chorej.

– Czym się zajmuje twoja mama? – zapytał wprost.

Wiktoria poprawiała ubranko na lalce i unikała przez chwilę wzroku lekarza.

– Uczy śpiewu – powiedziała w końcu cicho i bez przekonania.

Lekarz pokiwał głową, rozumiał już wszystko. Westchnął ciężko i wrócił do pokoju, gdzie leżała matka.

Wiktoria wdrapała się na siedzisko pod oknem i przystawiła lalkę do szyby. Lalka znowu chciała iść na spacer i odejść jak najdalej stąd.

Lekarz zakrył kołdrą twarz zmarłej i zastanawiał się, kto mógłby mu pomóc w wyniesieniu ciała. Otworzył drzwi i wyszedł do sieni, w której zobaczył dwóch umorusanych węglem chłopców.

– Chłopcy, pomóżcie mi? Trzeba wynieść ciało – powiedział rzeczowo i bez ogródek.

– A co to, syfilis? – zapytał jeden z nich, uśmiechając się paskudnie.

– Tak.

– To my nie pomożemy – odpowiedzieli zgodnie.

Lekarz zakręcił się w miejscu i wznosił na chwilę bezradnie ramiona, po czym szybko je opuścił. Zrobił kilka kroków do przodu i zobaczył sierotkę, która cały czas bawiła się w osobnym pomieszczeniu siedziby.

– Ma się nią ktoś zająć? – zapytał chłopców cicho.

– Nie bardzo – odpowiedział jeden z nich. – Ojciec też jej zmarł jakiś czas temu. A ci, co przychodzili tutaj, na pewno nie byli z rodziny. – Chłopak uśmiechnął się, świadomie podkreślając słowo „rodziny”. – Zresztą, nie bardzo nas to interesuje.

Doktor stał w miejscu i nie wiedział, co zrobić.

– No, to co z nią będzie? – zapytał.

– Jak to co? Do przytułku.

– W Welwyn nie ma przytułku.

– Ale jest w Hinxworth. Z tego co wiemy, potrzebują tam też ludzi do kopalni, więc na pewno się ucieszą – powiedział mały kominiarz, jak gdyby z satysfakcją, po czym splunął na klepisko.

Lekarz obrócił się w stronę pomieszczenia, w którym mała Wiktoria przyciskała lalkę do okna brudnego od pyłu. Wszedł do pokoju tak cicho, że Wiktoria go nawet nie zauważyła. Zorientował się, że dziewczynka coś śpiewa cicho pod nosem i zdecydował, że da jej jeszcze kilka minut spokoju, zanim powie to, co musi powiedzieć.

\*\*\*

– Jakub, proszę cię, naprawdę nie mam czasu – powiedziała lekko zirytowana Anna. – Jak skończę raport, to wtedy będziesz mi opowiadał o wspaniałej epoce wiktoriańskiej do woli, ok?

Współlokator, mamrocząc coś pod nosem, posłusznie wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Anna zamknęła zakładki, których mnóstwo Kuba pootwierał w wyszukiwarce, i natychmiast zabrała się do raportu.

Już chciała wystukać na klawiaturze pierwsze słowa, gdy w tym momencie zgasły komputer, światło i nastąpiła cisza. Komuś zza ściany wyrwało się siarczyste przekleństwo.

– Do cholery! – Anna również się zdenerwowała. Wymacała ręką telefon na biurku i wybrała numer do przełożonego. Po chwili usłyszała szorstkie: „Halo?”.

– Dzień dobry, szefie, właśnie odłączyli nam prąd i nie mogę, rzecz jasna, pisać raportu. W związku z tym prawdopodobnie oddam go dopiero pojutrze...

– Jutro chcę widzieć raport – przerwał jej oschły głos po drugiej stronie. – Nie interesują mnie żadne wymówki. Do widzenia. – Anna usłyszała krótki sygnał świadczący o zakończeniu rozmowy.

Westchnęła ciężko, próbując opanować złość.

– A jak Tomaszek dwa tygodnie zwlekał z prezentacją, to było wszystko w porządku - sapała ze złości, oświetlając sobie telefonem drogę do kuchni, bo tam miała nadzieję znaleźć zapalki i świeczki. – Kornel też złożył raport po terminie i też się wtedy nic nie stało. – Wyciągnęła z szafki zapalki, napoczętą już świeczkę i wróciła do pokoju.

– No tak, przecież kobiety muszą mieć gorzej – mamrotała dalej, gdy wyciągała z szuflady notatnik i długopis. – Zawsze miałyśmy gorzej i będziemy mieć gorzej – powiedziała z goryczą. Próbowała pisać raport, posiłkując się jedynie długopisem i świeczką dającą blade światło.



# WESSEL

Jakub Lubberda

Obudziła się w plamie rażącego światła, wpadającego przez okno dostatecznie przestronne, by przepchnąć przez nie fortepian. Cała obolała. Najpierw myślała, że to od leżenia na gołej podłodze, zaraz jednak dostrzegła siniaki na przedramieniu.

Leniwie omiotła wzrokiem pomieszczenie i oceniła, że wyglądało staroświecko, jakby dopiero co wyprowadził się z niego Ludwik XIV. Po lewej miała łożę z baldachimem, na które trzeba wspinać się po drabinie.

Sufit przyprawiał o agorafobię. Wisiał tak wysoko, że można byłoby pod nim prowadzić ptaszarnię. Pod ścianą stał fotel wąski i strzelisty jak nieistniejąca już iglica katedry Notre Dame. Tuż obok znajdował się kominek wielkości bramy do Hadesu. Idealny,

by palić nie tylko grubo ciosane pnie sosen, ale i wrogów politycznych. Ścianę pokrywała pastelowa tapeta w drobny wzór. Tak kiedyś radzono sobie z plamami wilgoci: co z oczu, to z serca.

Nie pasował tu jedynie postawiony na niskim stoliku telewizor.

Spróbowała się poruszyć i szybko stwierdziła, że nie może. Nogi zaprotestowały pulsującym bólem, najpewniej złamane.

Usiłowała sobie przypomnieć, co takiego robiła, że się tu znalazła. Ale nie potrafiła.

Odkryła za to, że może się czołgać. Pomyślała, że podczołga się pod drzwi, pociągnie za klamkę i zawoła o ratunek. Ktoś musiał tu mieszkać. Dom był zbyt zadbane jak na ruinę.

Mgliście przypominała sobie informację z lekcji pierwszej pomocy, by nie ruszać połamanego bez usztywnienia jego kości, ale w tej chwili miała to gdzieś. Do tego mitycznego „gdzieś” mogły zawędrować odłamki żeber i powodować krwotok wewnętrzny, więc niewielką różnicę robiło jej to, w jaki sposób umrze. Miałyby o wiele większe szanse na przeżycie, gdyby ktoś zawiózł ją do szpitala.

Ale czemu ktoś miałby jej pomagać, skoro nie wysilił się nawet, by położyć ją na łóżku?

Poczuła narastający niepokój, a wraz z nim przyplływ determinacji, by uciec. Postanowiła, że wyczołga się na ulicę bez niczyjej łaski. Szczęściem, klamki osadzono w skrzydłach drzwi nisko, jakby miało to zmusić służbę do wchodzenia i wychodzenia z ukłonem.

Podczołgała się do drzwi o kolejny centymetr, mimo iż otepiający ból złamanych nóg sprawiał, że niemal traciła przytomność. Dotarła do wyjścia i wyciągnęła lewą rękę w kierunku klamki. Ten gest poruszył jej obolałe zebra.

Pociągnęła za uchwyt i jej serce zamarło jak lis przyłapany w kurniku. Zrozumiała, że jest tu zamknięta.

Rozpłakała się.

Nie wiedziała, jak długo szlochała, przedrzeźniana przez głuchoe echo pokoju. W pewnym momencie telewizor pstryknął, rozbłysnął z siłą supernowej i pojawił się dźwięk. Zaskoczona, cofnęła się i spojrzała na ekran.

Zobaczyła człowieka w skórzanej kurtce i kasku motocyklowym, odwróconego tyłem do widza. Rozmawiał z prezydentem. Głos motocyklisty dudnił jak bas demona, który przybył do śmiertelnika, by zrealizować podpisany przezeń cyrograf.

Ale ona już nie zwracała na to uwagi. Odpłynęła.

\*\*\*

Uliczka należała do tych zabytkowych. Wyłożona brukiem. Wąska, kręta i stroma. Jedna z tych z ciągnącymi się po obu stronach domkami z nadbudówkami na wykuszach, żeby ludzie nie musieli tłoczyć się na piętrze jak myszy chroniące się w norze przed łapą kota. Idealna, by wypieprzyć się na rowerze o jeden z wystających kocich łbów i rozciąć głowę o znak drogowy zepchnięty na już i tak ciasny chodnik.

Droga tonęła w mroku wczesnych godzin porannych, oświetlały ją jedynie oszczędnie porozmieszczane lampy sodowe.

Okolica przypominała Whitechapel w okresie grasowania Kuby Rozpruwacza.

Zza zakrętu wyłoniła się kobieta. Biegła. Stukot jej obcasów nikał wśród ogłuszającego łomotu kropel uderzających o gonty, rynny, szyby i kamienie. Deszcz siekł jak piąstki kreskówkowej damy w opalach o tors lub plecy porywacza.

Obejrzała się przez ramię. O takiej porze i przy takiej pogodzie nikogo nie powinno tu być, a jednak jej umysł bębnił na alarm – w każdym cieniu dopatrywała się mordercy.

Może to efekt czytania wpisów pod hasztagiem *#IWasWearing* na Twitterze ostatniej nocy? Wbrew pozorom nie potrzeba ciemności, wyzywających ubrań i podejrzanych zaułków. Gwałt mógł tę kobietę spotkać w każdej chwili. Tak jak jedną z użytkowniczek, gdy w utyłanych ogrodniczkach wyszła za dnia na pięć minut do magazynu.

Kobieta mocniej opatulila się przemokniętym płaszczem w reakcji na silny wiatr, który szukał schronienia za jej kołnierzem.

Musiała wymknąć się z randki z facetem, który zaczął pozwalać sobie na zbyt wiele. Wiedziała, że ruszy za nią samochodem, więc wybrała drogę na skróty, taką, gdzie nawet by nie wjechał.

Kręciło jej się w głowie i chciała zdążyć do domu, zanim padnie nieprzytomna na czyichś schodach. Podejrzewała, że facet dosypał jej czegoś do wina.

Wtem poczuła szarpnięcie. Zanim zdążyła się zorientować, co się stało, ktoś brutalnie wciągnął ją do zaułka i rzucił na ścianę. Uderzyła głową o mur, osunęła się na ziemię i wylądowała wśród śmieci pozostawionych po jakiejś libacji.

Spróbowała wstać, ale zamarła. Zakłuł ją w szyję ostry koniec noża. Napastnik usiadł na niej okrakiem. Powietrze wypełniła przepychanka przyspieszonych oddechów: jej – ze strachu i jego – z podniecenia. Jakby pędzili na ręcznej dreźnie.

Pożądliva ręka rozsypała pas u płaszcza i jednym szarpnięciem dorobiła głęboki dekolt do przemoczonej bluzki z krótkimi rękawami.



Kobieta zobaczyła, jak wzrok napastnika wędruje do jej biustonosza, a jego wolna łapa – pod spódnicę. Ręce miała rozłożone jak na krzyżu. Nie opierała się, wiedziała, że w tej pozycji gwałcieł najpewniej pobije ją do nieprzytomnego posłuszeństwa, zanim sama zdoła uderzyć.

Za gardło ścisnął ją strach. Adrenalina kazała jej myśleć, że to nie spotkało jej, tylko jakąś osobę bliźniaczo do niej podobną, na którą patrzy z boku. Dysocjacja.

Napastnik szarpnięciem zerwał z niej biustonosz, podwinął jej spódnicę i położył się na niej. Po omacku sięgnęła dłonią w stronę śmieci i wyczuła znajomy kształt.

Gwałcieł zbliżył twarz do jej piersi. A wtedy mroczną uliczkę rozproszył nagły błysk.

Zboczeniec zawył, gdy wysoki płomień zapalniczki trafił go w oczy. Kobieta nie zdjęła kciuka z krzesiwa, póki napastnik nie wycofał się, próbując osłonić przedramieniem twarz. Zamierzył się na oślepie nożem, ale ten wbił się w torebkę, którą ofiara podniosła jak prowizoryczną tarczę. Gdy mężczyzna usiłował wyszarpnąć ostrze, kobieta szybko podniosła się i wymierzyła ciosy obcasem w zgięcia kolan i stopy. Gwałcieł wrzasnął i rozplakał się tak histerycznie, jakby co najmniej zaczął rodzić.

Skoro chce ściągać obcym kobietom majtki do kostek w podejrzanych zaułkach, niech sam pobiega, jakby mu wyposzczony kolega z celi opuścił spodnie.

Zasłonił krocze, więc oberwał noskiem trzewika w skroń z siłą, która powaliła go na plecy.

Przez chwilę myślała, że rozbroiła napastnika i zdoła przekroczyć go, by zabrać torebkę. Niby głupi odruch, ale miała w niej dowód osobisty. Jeśli go zostawi, równie dobrze mogłaby sobie wymalować wielką tarczę na pośladkach.

Zrobiła krok w przód. I kolejny.

Mężczyzna nagle wyciągnął rękę, by złapać ją za płaszcz lub nogę, ale zagarnął dłonią powietrze, bo kobieta zdążyła w porę uskoczyć. Jednak złamała przy tym obcas.

Postanowiła nie ryzykować ciosu nożem w tętnicę, by odzyskać własność, toteż zrzuciła buty i pobiegła co tchu przed siebie. Pocieszała się, że na nic mu dowód tożsamości, jeśli utrata wzroku okaże się trwała i już nigdy nie zobaczy osoby, do której należał. Prawdopodobnie mężczyzna nie będzie tracił czasu na przeszukiwanie jej rzeczy, jeśli będzie zmuszony uciekać. Nie zaryzykuje, że ktoś zobaczy go z torebką, dzięki której można by go powiązać z napastcą. Tym bardziej, że sam nie będzie w stanie dostzec potencjalnych świadków swojej rodzieli i chunikać. Któryś z nich mógłby zadzwonić po pogotowie, a szpital – zgłosić zajście na policję.

Lśniące od deszczu kamienie brukowe nieprzyjemnie ziębiły stopy i zaraz odezwał się pęcherz, ale adrenalina tak rozgrzała niedoszłą ofiarę, że ta niemal nie zwracała na uwagi na niedogodności.

Klucząc między alejkami, by zgubić zboczeńca, sama zabłądziła. A on najprawdopodobniej i tak znał tę okolicę lepiej. W torebce zostały też pieniądze, więc nie mogła liczyć na taksówkę.

Przemknęło jej przez myśl, żeby zapukać i wprosić się do jednego z mieszkań, by zadzwonić na policję. Jednak zanim ktokolwiek by się obudził, zwałókl z łóżka, wyrzwał przez okno, zeszedł z piętra, podszedł do drzwi i zapytał: „Czego?!”, ona byłaby już trupem z poderżniętym gardłem. Do tego wygodnie wrzuconym przez śledczych do szuflady z etykietką: „Prostytutka”, żeby nie trzeba było za wiele pracować po nocy w weekend świąteczny nad rozwiązaniem sprawy. Najwyraźniej, według policji, dziwki nie miały nic lepszego do roboty, tylko w ramach hobby napażać się na pięści z klientami i alfonsami.

Nie, za żadne skarby nie mogła stracić zyskanej przewagi.

Kiedy już myślała, że pozbyła się natręta, usłyszała kroki. Z zaułka wyłonił się inny mężczyzna. Wysoki i przystojny, o półdługich blond włosach zawadiacko zaczesanych na prawe oko. Gładko ogolony. Dobrze zbudowany. Ubrany w piaskowy płaszcz, brązowy garnitur i kasztanowe mokasyny. Wyglądał jak Mick Cunter z zespołu Backdoor Boys. Zrobiło jej się wstyd, że stoi przed nim boso, w brudnym płaszczu i porwanych rajstopach. Chciała zawrócić, ale z tamtej strony nadchodził gwałciciel. Echo niesło odległe odgłosy nierówno stawianych stóp.

– Spokojnie. Nie skrzywdzę cię – zapewnił nieznajomy. Podchodził powoli, z uniesionymi wysoko rękoma. W prawej dłoni trzymał telefon. – Jesteś ranna?

Zanim odwrócił smartfona, zarejestrowała ekran czatu. Z kim tak po nocy dyskutował?

Przez chwilę biła się z myślami. Którą informację podać jako pierwszą, by nie stracić za dużo czasu na wyjaśnienia? Czowała się tak, jakby próbowała wbić na ślepo kod dostępu pod czujnym okiem karabinu gniazdowego podwieszonoego pod sufitem.

– Zostałam napadnięta! Ktoś mnie goni!

– Już dobrze. Przy mnie nic ci nie zrobi. – Machał dłońmi w przód i w tył. Można by pomyśleć, że to negocjator, który telekinetycznie próbuje odepchnąć skoczka od krawędzi gzymsu.

Natychmiastowe przejście na ty, wkraczanie w przestrzeń osobistą zarezerwowaną dla najbliższych.

– Proszę zadzwonić na policję! – Tamy pękły i w jej oczach zaszklily się łzy.

– Jasne. Już dzwonię.

Wybrał numer. Podświadomie zarejestrowała, że jego palce nie padały na dół klawiatury, gdzie powinny znajdować się dziewiątka i siódemka z policyjnego numeru alarmowego.

– Halo? Policja? Chciałbym zgłosić napad na kobietę na ulicy Gwaledup... Gwadelupy. Pod apteką A. Buzera. Pospieszcie się, sprawca może uciec! – Rozłączył się i zwrócił do niej. – Zaraz będą.

Część jej zamroczonego alkoholem i prochami umysłu odnotowała, że interwały na odpowiedzi dyżurnego były zbyt krótkie. Facet nawet się nie przedstawił. Nie zająknął się też na temat pomocy medycznej. Zapomniał? Uznał, że sami się domyślą?

Elegancki mężczyzna był już bardzo blisko. Chciała, by ją obronił. Chciała komuś zaufać i uwierzyć w ludzkie dobro. Rozpląkała się i już miała paść obcemu w ramiona, gdy zauważyła jego szybkie i ukradkowe spojrzenie na coś za jej plecami.

Potrzebowała komuś zaufać, więc zaufała sobie. I kopnęła „wybawcę” w jądra.

– Aaa! Ty pojebana suko! – Złapał się za krocze i osunął na kolana. Jego ubranie i tak było za suche jak na kogoś, kto przez dłuższy czas szedł ulicą bez parasola. Raczej sugerowało, że ten ktoś czekał pod zadaszeniem lub został wywołany ze środka. To nie mógł być przypadek, że znalazł się akurat na jej drodze.

Pobiegła przed siebie i dopiero po tym, jak oddaliła się od nieznanego, pozwoliła sobie na szybkie spojrzenie za siebie. Widziała, jak mężczyźni się kłócą. Niedobry Samarytanin oglądał coś w dłoniach. Mały kawałek plastiku. A potem wskazał kierunek, w którym uciekła.

Wiedziała, po prostu wiedziała, że tak będzie. Gdyby zdradziła się z tym, że zauważyła ukradkowe zerknięcie fircyka i odwróciła się, by przekonać się na co patrzy, ten by się na nią rzucił i jej przyłożył.

Ilu ich tu jeszcze było?

Wbiegła do kolejnego zaułka i poczuła, że ktoś siłą odciąga ją na stronę. Walczyła, lecz bezskutecznie. Ten ktoś zatkał jej usta i wciągnął za drzwi.

\*\*\*

Tu wspomnienie się urywało.

Zorientowała się, że nie słucha telewizji. Prowadzący z przejęciem mówił o upadku motocyklisty i o tym, że ten cudem nie odniósł żadnych obrażeń w wypadku. Na ekranie pojawiła się powtórka w zwolnieniu. Kaskader wykonał salto podczas skoku nad przepaścią między rampami. Puścił kierownicę, ale nie zdołał jej z powrotem złapać i spadł na ziemię. Widziała, jak z impetem upada na uda i żebra, jak bokiem głowy uderza w twardy grunt. Uświadomiła sobie, że to ni mniej, ni więcej tylko obrażenia, jakie sama odniosła.

Kierowca zdjął kask.

Zachłysnęła się powietrzem.

\*\*\*

Jęknęła z przerażenia. Szarpnęła się, ale postać mocniej zacisnęła dłoń na jej przedramieniu.

– Ciii! Chyba nie chcesz, żeby cię tu znaleźli? – Głos obcego był niski, przytłumiony, jakby nosił maskę na twarzy.

Trwała z napastnikiem w bezruchu przy drzwiach, aż w końcu usłyszała podniecone głosy, które niosły się z uliczki biegnącej obok domu. Nie jeden, nie dwa, nie trzy. Było ich co najmniej pięciu.

– Gdzie ona pobiegła?!

– Nie wiem, stary!

– Widziała mnie, kurwa!

– I mnie!

– Nie może nam uciec! Będziemy spaleni!

– Słuchaj, tam za piekarnią jeszcze nie sprawdzaliśmy.

– Biegiem! – Oddalili się.

– Zdejmę ci dłoń z ust, a ty obiecasz, że nie będziesz krzyczeć. Zgoda?

Przytaknęła. Powoli odsunęła rękę.

– Muszę wracać do domu – odparła drżącym głosem. Nie wierzyła, że ją wypuści, ale potrzebowała potwierdzenia, że następnym krokiem nieznajomego będzie propozycja udzielenia jej noclegu lub podwiezienia jej w bezpieczne miejsce. Wówczas mogłaby na to przystać. Tylko po to, by wyrzucić go z zaskoczenia łokciem w krtań i uciec.

– Mają twoją torebkę. Wiedzą, gdzie mieszkasz.

– Skąd...?

Odwróciła się. W ciemności przedsiönka nie widziała twarzy nieznajomego. Światła ulicy, wpadające przez szybę, odbijały się w czymś, co wyglądało na kask motocyklowy.

– Bo to pierwszy raz? To synalki bogatych i wpływowych. Ojciec jednego z nich jest prezesem konserwatywnej partii, która zakulisowo łączy się z języczkiem z faszystami. Jak myślisz, dlaczego polują w dzielnicy zamieszkałej przez obcokrajowców?

Potrząsnęła głową.

– Jak kogoś zgwałcą lub zabiją, będzie na „brudasów”, żeby tatko miał pretekst, by uszczelniać granice. Nikt z okolicznych by do ciebie nie wyszedł, gdyby tylko zobaczył, że jesteś biała i dobrze ubrana. Nie potrzebują takich kłopotów.

– Nie mogę tu zostać.

– Czemu nie? Nikt cię tu nie znajdzie. Jutro pójdziesz na policję i podasz im ich rysopisy. Skończysz to raz na zawsze.

– No nie wiem. Skoro mają takie wtyki...

– Jesteś jedyną, która przeżyła taką napaść. Pozwolisz im wygrać?

– Masz rację. To się musi skończyć.

Nieznajomy podszedł nagle do drzwi i nerwowo wyglądał na wszystkie strony.

– Coś się stało?

– Nie, nic. Wydawało mi się, że ktoś tam jest.

– Wrócili?

– Nie, to była jakaś dziewczyna. Nieważne. – Oderwał się od szyby. – Chodź za mną, dam ci coś na zmianę. Pewnie jesteś głodna.

Przytaknęła zakłopotana. Czowała się jak ciężar.

Wyszli po schodach w wątle światło. Nieznajomy okazał się zaskakująco drobny. Zdjął kask i wypłynęła spod niego kaskada długich, prostych i czarnych włosów. Postać odwróciła się i zobaczyła jej twarz.

Twarz kobiety.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Myślałam, że... jesteś facetem.

– Taa, facet nigdy nie zrozumie, jaką tragedią jest gwałt. Myślą, że to taki seks mimo bolącej głowy. Zapytaj, kto ma więcej przypadków zespołu stresu pourazowego: zgwałcone kobiety czy żołnierze w strefach wojennych, i na bank powiedzą, że żołnierze.

Posadziła ją przy stole w salonie i wyszła do kuchni. Po chwili wróciła z parującą herbatą dla siebie i dla niej.

– Masz, napij się. Dużo przeszłaś.

Pozwoliła jej wybrać kubek, a potem wzięła drugi i upiła łyk.

– Dziękuję.

- Nie ma za co. Ty zrobiłabyś to samo dla mnie.
- Uratowałaś mi życie.
- A ty uratujesz je setkom, jak tylko świat się o tym dowie.

Przytaknęła.

- Jestem Michalina.
- Rapsodia.
- Piękne imię.

Wzruszyła ramionami.

– Czuję, że to początek wspańiałej przyjaźni. Dwie babki przeciwko całemu światu. –  
Michalina poważnie spojrzała jej w oczy.

- Tak.– Rapsodia uśmiechnęła się słabo.

Poczuła się szczęśliwa, że istnieją jeszcze tacy ludzie, jak Michalina. Nieznajoma przyglądała się jej z zainteresowaniem. Brodę opierała na dłoniach złożonych jak do modlitwy.

Nagle Rapsodii zrobiło się słabo. Poczuła senność i zakręciło jej się w głowie. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętała to to, że Michalina zaprowadziła ją do pokoju.

\*\*\*

Prezenter mówił dalej:

- Nikt nie miał prawa wyjść z takiego wypadku cało. Jak się czujesz?
- Dobrze. To może wyglądało groźnie, ale kiedy wiesz, jak upadać, by nic sobie nie zrobić, sprawa wygląda inaczej.

– Proszę państwa, niesamowite! A teraz Mika Wessel zaprezentuje nam nowy numer. Miko, co to będzie?

- Przejadę nago przez ten oto tunel ognia.

Kamera zrobiła najazd na tunel z ciasno ułożonych płonących obręczy.

Rapsodia jęknęła.

- Nie... NIE!

Mika rozebrała się za parawanem i wyjechała zza niego na motocyklu. Widownia była ustawiona do niej bokiem, a ręce trzymające kierownicę zasłaniały piersi, więc widzowie niewiele widzieli. Tylko tyle, żeby stwierdzić, że nie ma na sobie jakiejś przezroczystej lub wymalowanej na kolor ciała odzieży ochronnej czy grubej warstwy żelu chłodzącego.

Motocyklistka wjechała w płomień.

Rapsodia wrzasnęła z bólu, który w jednej chwili rozblęsnął ogniskami w całym ciele. W nozdrza wdarł się węglowy swąd i pierzasty smród palonych włosów. Poczwała gorąco, przy którym człowiekowi czasowo wyłączał się mózg i przenosił się myślami w jakieś obce światy, by znowu ocknąć się w starym i znajomym.

Miała wrażenie, że pali się na niej ubranie, więc zdarła je, póki jeszcze była w stanie.

Ale to nie pomogło.

Na skórze wykwitły białe bąble jak po ugryzieniach mrówek. Tak nieznośnie piekły! Nie mogła jednak dodrapać się do źródła swędzenia, bo traciła czucie w rękach.

Jej krew była gorąca. Kobieta odnosiła wrażenie, że wrze. Że gotuje się od środka we własnych płynach ustrojowych.

Chciało jej się płakać, ale łzy parowały niby wrzątek wylany na mróz. Wkrótce ostatecznie straciła wzrok, gdy ugotowały się jej gałki oczne.

Każdy oddech sprawiał ból, jakby wdychała napalm.

Jej skóra spiekła się na chitynowy pancerz. W nim płuca nie mogły się poruszać. Rapsodia udusiła się, zamieniona w żywy kamień jak pod spojrzeniem Meduzy. Kapłanki Ateny, której jedyną winą było to, że została zgwałcona przez podwładnych Posejdona, a jej bogini nie mogła występować przeciwko innym bogom.

Tymczasem Mika Wessel wyjechała z piekła nietknięta, ku niedowierzaniu i wiwatom publiczności. Podniosła ręce w tryumfalnej pozie, zwrócona ku widowni.

\*\*\*

Wessel siedziała przy barze. Pociągnęła przez słomkę łyk pastelowego drinka. Usadowiła się tak, by mieć oko na całą salę. Lokal pachniał salonami gier, które pamiętała z dzieciństwa. Dym papierosów, politura, rozgrzany plastik, lakier pociemniałych boazerii i krochmal, jeśli przybytek miał pokryte obrusem stoliki.

Rozmyślała nad swoją ostatnią ofiarą. Nikt z rezydentów nie zadzwoni na policję, nawet jeśliby śmierdziało rozjechanym lisem w upalny dzień. Znowu byłoby na nich.

Rapsodia była taka rozkosznie naiwna. Mikę bawiło to, że baby uciekające od psychopaty ani na chwilę nie pomyślą, że ten, u którego będą szukały pomocy, to jego współnik. Głupie wierzą w kobiecą solidarność, jakby to, co masz między nogami, świadczyło o tym, że nie możesz być psychopatką.

Wessel wypatrywała kolejnej ofiary. Miała czas mniej więcej do czwartej rano, gdyż o tej godzinie zawiązała poprzedni pakt. Musiała zdążyć, bo inaczej wszystkie obrażenia, których tamta doznała, znowu przejdą na nią.

I wtedy je zobaczyła. Lesbijki. Niska Azjatka i szczapowaty rudzielec w skórzanej kurtce. Czajnika oburzała się, że lisica wcale nie chciała uwić z nią gniazdka i wysiadywać kukułczych piskląt. Że dla niej była tylko rozrywką między kolejnymi zdobyczami. Wykorzystała ją i podsycala jej nadzieje kłamstwami o dozgonnej miłości.

Ruda wyszła, tak wściekła, że tułów wyprzedzał nogi. Szurała przy tym butami jak kot zagrzebujący nieczystości w kuwecie. Czikurinka zalała się łzami.

I kto podszedł ją pocieszyć? Oczywiście, że Wessel. Nie byłaby sobą, gdyby przepuściła taką okazję.

\*\*\*

Skośnooka leżała na stole z głową na ramionach. Zupełnie jak skoczek bankowy zastrzelony nad zupą przez chciwego współnika. Gdy Wessel delikatnie dotknęła jej ramienia, ta poderwała głowę skonfundowana. Jej rozmazany makijaż sprawiał wrażenie corpsepaintu, pan do podobnej charakteryzacji muzyka blackmetalowego.

Mika pochyliła się nad stolikiem tak, by jej głęboki dekolt bez stanika zawisł na poziomie oczu lesbijki. Ta jednak uparcie wpatrywała się w jej twarz, najwyraźniej nie mogąc uwierzyć, że ktoś się nią zainteresował.

Wessel z fałszywą skromnością spuściła wzrok kartkę z numerem telefonu i adresem, którą podsuwała dziewczynie. Posłała lesbijce szeroki, czarujący uśmiech z palisadą małych, równych i idealnie białych zębów. Nietrudno było je utrzymać, kiedy ofiary przejmowały jej próchnicę.

Wykonała gest słuchawki przy uchu i bezgłośnie zakomunikowała wargami: „Zadzwoń do mnie”.

Wyprostowała się powoli z wypiętą pierśią i oddaliła się, kołysząc biodrami jak kulą wyburzarki.

Żółta wpatrywała się w kartkę przez dłuższą chwilę, po czym zerwała się z krzesła i ruszyła za motocyklistką przez boczne wyjście na parking.

Mika uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy usłyszała za sobą drobne, nerwowe krocзки. Parking był pusty, więc miały go tylko dla siebie. Odwróciła się powoli, wyszczerzona jak



feudalny poborca podatkowy. Azjatka patrzyła na nią z tym głupawym wyrazem rozchylonych ust. Tych tuż przed pocałunkiem.

Wyciągnęła do niej rękę z kartonikiem. Mika wzięła go od niej i obejrzała pod światło lamp ulicznych.

Zdjęcie.

Jej uśmiech zrzędł.

To była fotografia jej pierwszej ofiary. W tym stuleciu, oczywiście.

Podniosła wzrok na dziewczynę i wtedy ta zrobiła krok do przodu. Wessel poczuła użądlenie w brzuchu. A potem ciepło. I usłyszała wodospadowy plusk ciekącej na asfalt krwi.

Roześmiała się. Najpierw cicho, potem głośno i histerycznie. Dziewczyna cofnęła się z nożem ceramicznym wciąż w dłoni.

–Ty głupi ryżojadzie. Właśnie zostałeś nową panią Wessel. Parawampirzycą przekazującą ból i obrażenia innym. Masz dość, od teraz, żeby skłonić kogoś do tego, by powiedział, że łączy was jakaś więź, nie podpowiadając mu tego. Inaczej przejmiesz los najbliższej w okolicy umierającej osoby. Będziesz ginęła raz po raz, zmiażdżona w wypadku, trawiona rakiem, rozsadzona od środka przez wdzierającą się do płuc wodę.

– To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam.

Wszystkie atomy we wszechświecie pochodzą z Wielkiego Wybuchu. Są wieczne. A my jesteśmy energetycznie połączeni z całym wszechświatem. To, co wpływa na planety, ma też wpływ na nas. Czy to wiatr solarny, czy szarpanina grawitacyjna planet w koniunkcji, odczuwamy je jako zaburzenia w naszych aurach. I tak samo jest z ludźmi i ich emocjami bądź wrażeniami zmysłowymi. Parawampirzyce jak ty i ja wiemy, w jaki sposób odwrócić ten proces. Przekazać to, co spotyka nas, komuś innemu. Możemy oszukać śmierć i żyć wiecznie!

Wessel próbowała zyskać czas i wzbudzić w kobiecie poczucie, że ma ją osobą współnego. Albo wystraszyć natyle, by tak wykazała jej linię współczucia, to troskę o własny interes i wezwał apogotowie.

– Skończyłaś?

– Pamiętasz swoją dziewczynę, tę którą znaleźli poszatowaną? Zrobiłam wtedy zjazd z rampy najeżonej mieczami. Moje obrażenia przeszły na nią, a mnie nawet nie drasnęło! Wszystko, co mi zrobisz, spotka ciebie.

Chinka popatrzyła obojętnie.

– Bez tej, którą mi odebrałaś, to nie życie.

Azjatka podniosła nóż. Mika spojrzała na to z przerażeniem.

– Nie! NIEEE! –krzyknęła i wyciągnęła rękę. Ale ostrze już zagłębiło się w brzuchu skośnookiej.

Pod Miką otworzył się ognisty portal. Kurczowo trzymała się krawędzi.

Lesbijka patrzyła na to przez mgłę opuszczającej ją świadomości, oparta o bagażnik fordacoupe. Wessel przesunęła się w stronę zderzaka i zaczęła się podciągać.

*Wyjdę! Muszę!,* myślała Michalina. *A jak już się wydostanę, zemsta będzie straszliwa!*

Wtedy z otchłani wystrzelił sierp na łańcuchu, wbił się w jej czoło i wyrwał z niej eterycznego sobowtóra, kompletnie nagiego. Fizyczne ciało w błyskawicznym tempie złuszczyło się ze skradzionych na przestrzeni wieków tożsamości, aż został tylko wysuszony trup, który po chwili rozpadł się w pył.

Duch Wessel został wciągnięty do dziury i rozdarty na miliony świetlistych smug, które trafiły do każdej z komnat skupionych wokół bezdennej kolistej przepaści w centrum portalu. Konstrukcja wyglądała jak wieżowiec ogołocony z zewnętrznej ściany i owinięty wokół gigantycznego komina wulkanu.

\*\*\*

Wessel ocknęła się na zimnej posadzce ciemnej komnaty, cuchnącej żelazem, zgniłym mięsem i wilgotnymi ceglami. Pomieszczenie miało rozmiar przydomowego basenu. Nie widać było żadnych drzwi.

Odwróciła głowę za siebie, skąd docierały podmuchy powietrza.

Jedynym wyjściem była bezdenna przepaść.

Po chwili dobiegło jej uszu przeciągłe mlaśnięcie. Ściana w przeciwnym kącie rozstała się jak otwierany pacjent i z otworu wyłonił się rosły mężczyzna w skórzanym fartuchu do kolan i berdyszem w dłoni. Ruszył w jej stronę.

Gdy podszedł bliżej, zobaczyła, że rzeźnik miał byczą głowę, świński ryj i ludzkie zęby odsłonięte przez obcięte wargi.

Z oczyma wytrzeszczonymi z przerażenia, Mika wycofywała się, odpychając się nogami i szurając pośladkami po posadzce. Poczwara zamachnęła się toporem i przepołowiła Wessel w pasie. Kobieta ostatkiem sił próbowała się odczołgać, ale opadła z sił. Powietrze wypełnił mdlący smród przerwanych jelit i krwi.

Pierwszy szok wkrótce ustąpił i dotarło do niej, że nogi rozłożone w wulgarnej pozie przed oprawcą należały do niej. Poczowała palący, obezwładniający ból.

Z zaskoczeniem odkryła, że sygnały bólowe dochodziły z kończyn, których nie powinna była czuć.

Potem przyszedł kolejny szok. Jej tkanki się napięły, mięśnie poczęły rwać. Wessel wrzasnęła przeciągle, gdy wyżyły się z nich ostre kości. Ściągną wychyliły się jak węże i oblekły kościec.

Po okresie, który wydawał się jej wiecznością, odzyskała dawną postać. Nie wymazało to jednak pamięci mąk krzyżowych, jakie stanowiła regeneracja.

Jej druga połowa też była cała. Odwróciła się do źródła krzyków i teraz obie patrzyły na siebie w zdumieniu.

Rzeźnik ponownie podniósł topór do ciosu.

Jej bliźniaczka zerwała się na równe nogi. Mika poszła w jej ślady, a wtedy sobowtórka wypchnęła ją przed siebie, by to nią zajął się oprawca.

Bezczelna! To ona ją zrodziła! Nie byłoby jej bez niej!

Zanim zdążyła uciec, rzeźnik złapał ją za nogi, poderwał do góry i odwrócił do ściany, pośród jej wrzasków i wścieklej szamotaniny.

Z muru wychynęła biegnąca piła tarczowa. Oprawca wziął zamach za plecy i zarzucił krzyczącą z przerażenia Mikę kroczem na wirujący krąg.

Ciągnął ją w dół. Bardzo powoli. Jej wrzask przeszedł w rozbijający bębenki pisk.

Druga Wessel, kuląca się przy ścianie nad krawędzią, rwała ciało do krwi paznokciami, targana spazmami widmowego bólu. Zanosila się płaczem. W chorobliwy sposób chciała, by cierpienie siostry zagłuszyło jej własne. Nie było w tym jednak nic z empatii. Do jej odczuwania Wessel nie była zdolna. Pragnęła jedynie, by choć na chwilę znaleźć ukojenie w rozplatanym mózgu i sercu, które przestało walczyć.

Tymczasem do kakofonii doprowadzających do szaleństwa wrażeń dołączyła odnowa obu połówek pierwszej Miki.

Sobowtór nie mógł tego dłużej znieść i skoczył w przepaść.

\*\*\*

Wydawało się, że spada całą wieczność. I tak pewnie było. W końcu zobaczyła wylot tunelu, a pod nim – morze płomieni na Słońcu.

Ono spali ją na popiół i nie pozwoli jej się odrodzić. Wreszcie będzie wolna.

Gdy już miała minąć wylot, usłyszała metaliczny świst, poczuła gwałtowne szarpnięcie i ból.

Zatrzymała się. Wystrzelony harpun na łańcuchu wbił się w jej pochwę, a horyzont wydarzeń studni rozrywał ją kawałek po kawałku, posyłając odnawiające się z nich Wessele w objęcia upragnionej pożogi. Po drugiej stronie pozostały tylko dyndające w próżni nogi z lędźwiami.

Z komnat wystrzeliwały kolejne harpuny i wyciągały część oderwanych części ciała do góry, gdzie na każdą czekał ich własny rzeźnik.

\*\*\*

Kobieta podniosła się znad wózka dziecięcego, w którym leżała dziewczynka wpatrzona w jej trzymany oburącz palec, jakby zawierał odpowiedzi na wszystkie pytania we wszechświecie.

Wesoły uśmiech na jej twarzy zrzędł. Z konsternacją wbiła wzrok w niebo, które przybrało feerię niezdrowych barw, niczym gojący się siniak.

Oślepiający błysk.

I huk.

Pies, z którym mężczyzna obok bawił się, rzucając frisbee,, rozszczał się.

Z ziemi podniósł się pył i do ludzi w parku dotarła fala uderzeniowa. Ich mózgi nie zdążyły nawet zarejestrować gruchotanych kości wbijanych w trzewia. Błysk i towarzysząca mu fala gorąca usmażyły ich w węglowe posągi. Masa zbitego powietrza, która uderzyła w nich z siłą lawiny, rozbiła ich poczerniałe zwłoki w pył.

\*\*\*

Naukowcy mówią, że Słońce jest zbyt małe, by po swojej śmierci przeistoczyć się w supernową i zmieścić Układ Słoneczny z mapy wszechświata.

Gdyby tylko wiedzieli, że z każdą kolejną Wessel podejmującą ucieczkę i zawisającą nad wylotem studni grawitacyjnej, powoli, ale nieubłaganie zwiększało swoją masę. A im stawało się większe, tym więcej zużywało paliwa i zbliżało się do nieuchronnego końca w potężnym wybuchu.

Zanim Mika została wciągnięta do portalu, modliła się o zemstę. Do nikogo konkretnego. Do kogokolwiek, kto mógłby jej dopełnić. Nawet nie wiedziała, że jej wołania dotarły do przedwiecznych bogów zamieszkujących trzewia kosmosu.

I że jej prośba została wysłuchana.

Nie żeby obchodził ich los człowieka. Tym bardziej pojedynczej kobiety. Po prostu modlitwa Miki przyspieszyła coś, co i tak zamierzali zrobić.

Grali między sobą o to, kto zdoła wybić materię zniszczonych układów solarnych najbliższej leżącej w centrum kosmosu supermasywnej czarnej dziury Sagittarius A\*.

Taka kosmiczna wersja kulek.



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

# PARTNERZY





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

